Nr. 27. 4. Wrzesnia 1860.

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego

(Ciąg dalszy.)

Do roku 1859.

Że z Prusakami zawsze nie łatwa jest sprawa, wiadomo jest każdemu, kto z nimi kiedykolwiek miał do czynienia. Wiadomo to i temu, który z nimi nigdy nie miał do czynienia, a tylko zna historyę stosunków Polski z Krzyżakami. Wiadomo to wreszcie i takim, którzy nawet i tej historyi nie znają, a tylko przypatrują się pilnie ich teraźniejszym robotom w W. X. Poznańskiem... Dobiesław znał ten przezacny naród od dawna; znał go nawet lepiej od innych, bo widział ich zachowanie się w swoim własnym majątku: ale przecież się nie spodziewał, ażeby miał z nimi sprawę tak trudną, jak się to okazało w rzeczywistości.

Jakoż w istocie, chociaż ci ludzie znajdowali się w położeniu tak rozpaczliwem, iż zdawało się, że brzytwy się chwycą, kiedy im się nawinie: przecież gdy przyszło do rozmowy na serio, postawili mu tak twarde warunki, iż niepodobna mu było je przyjąć ani nawet w połowie. Co było tego powodem: czy uzyskali tymczasem jakiś chwilowy ratunek? czy jakiś nowy spólnik zabłysnął im obietnicą pomocy? czy sobie uroili, że Dobiesław ma krocie w kieszeni i musi Grodowiska zakupić? było to tajemnicą: to wszakże pewna, iż stanęli tak do tej sprawy, jak gdyby im na sprzedaży Grodowisk nic nie zależało, a ich istnienie było ubezpieczone na wieki. Jest starodawne przysłowie: że najgorszy dyabeł jest na wychodnem, — i to przysłowie się teraz sprawdziło: Prusacy wystąpili przeciw Dobiesławowi jak dyabli.

Widząc to xięża, niezmiernie się tem sfrasowali. Dobiesław był trochę spokojniejszym i mówił:

— Miejmy cierpliwość. Każdy chce zrobić jaknajlepszy interes, tak też i oni; ale jak się przekonają, że dobrego interesu zrobić nie mogą, to zrobią i mniej dobry...

Wszakże Prusacy mieli także cierpliwość. Cierpliwość była główną ich cnotą: przecież byli Niemcami. Toż trzymali się stale raz postawionych warunków i zrazu nie chcieli ani na jotę od nich odstąpić. A dziwnie twarde-to były warunki. Żądali za Grodowiska sto piećdziesiąt tysięcy a oprócz tego *Herr von der Ecke*, jako ich głowa, żądał dla siebie renty dożywotniej po tysiąc talarów co roku. Nie brakowało i innych pomniejszych wymagań: jako utrzymania piwowara i gorzelnika przy ich dotacyach, przejęcia zaległości instytutowych, podatkowych, drogowych i t. d. Zgoła byłyto wymagania takie, że gdyby było Dobiesławowi na kupnie tych dóbr nie zaieżało, to był-by nawet z nimi nie mówił. Ale on chciał kupić Grodowiska — i dlatego targu nie rzucał. Ofiarował im wprawdzie od razu tylko ośmdziesiąt tysięcy, ale postąpił na dziewięćdziesiąt, a nareszcie na sto tysięcy. Spuścili coś i Prusacy... ale niewiele. Targi te trwały przez cały tydzień — i nareszcie tak zmęczyły Dobiesława, że zaczął już tracić cierpliwość. Nie można jej było nie stracić, a to nietylko dlatego, że sprzedający wymagali summ niemożebnych, ale także dlatego, że postępowanie ich było tak brudne, iż samą brudotą swoją nużyło. Ilekroć wszyscy trzej byli razem, wtedy zdawali się być zgodni ze sobą i wierni ogólnie przyjętym dążnościom: ale ilekroć który z nich się sam znalazł z Dobiesławem, każdy gotów był swoich towarzyszy zdradzić i zaprzedać. Tak *Herr von der Ecke* proponował mu w sekrecie, iż jeżli mu tylko jego renty zapewni, to on to zrobi, że Grodowiska zostaną sprzedane za bezcen. To samo proponował mu *Düsseldorfer* za sześć tysięcy talarów,— to samo trzeci spólnik za dzierzawę jakiegoś folwarku. Najwierutniejsze obrzydliwości! — Dowiedziawszy się o tem xięża, mówili Dobiesławowi:

— Wiesz co, korzystaj z tego szelmostwa. A co ci to szkodzi? Są położenia, w których się nie jest obowiązanym do bardzo skrupulatnego wyboru pomiędzy środkami...

Dobiesław się nad tem namyślał; ale nie mógł się zdecydować. I odpowiedział xiężom:

— Nie! ja tego nie potrafię. Przekupstwo w tym razie może-by nie było grzechem śmiertelnym; ale takiemi środkami nigdy nie walczyli Polacy... Ja, jeżli sobie w wyborze środków przeciw nim służyć mogących rozgrzeszę sumienie, to inną wybiorę drogę. Wystąpię do walki otwartej: kto będzie miał więcej przyjaciół, ten zmoże; tak zawsze u nas bywało...

Xięża byli niezmiernie ciekawi tej walki: ale Dobiesław milczał. Tymczasem, zniecierpliwiwszy się do ostatniego stopnia, zwołał Prusaków do siebie i postawił im ostateczne od siebie warunki. Ofiarował im

sto dziesięć za Grodowiska z inwentarzami i porządkami. Rozhowor o to trwał przez całą godzinę; ale się skończył na niczem. Prusacy warunków tych nie przyjęli. Dobiesław się zgniewał, a żegnając się z nimi, dał im słowo, że już ich nigdy nie zaczepi. Tak się skończyły targi o Grodowiska.

Po odejściu Prusaków w komnacie proboszcza głuche zapanowało milczenie. Obadwaj xięża siedzieli w krzesłach z pozwieszanemi głowami i nie śmieli ani słowa przemówić. Dobiesław nie był smutnym, ale tym zawodem się tak zirrytował, że nie miał także ochoty do konwersacyi. Uważał pilnie na niego wikary i czekał, póki się nie uspokoi; a potem rzekł:

— Nieszczęśliwi są ci Polacy! nic im się nie wiedzie... Uważając losy pojedyńczych ludzi w dzisiejszej Polsce i widząc, jak jednego, któremu jakokolwiek powodzi, otaczają zazwyczaj tysiące nieszczęsnych — i widząc dalej, jak ten jeden najczęściej nie wart trzech groszy a pomiędzy tysiącami znajduje się mnóstwo takich, którzy kiedyś wiele zaważą u Boga, i w innym kraju zaszli-by bardzo wysoko: przychodzę prawie do przekonania, że nad nami wszystkimi jakaś zła gwiazda zawisła, że jest jakaś fatalność, że w xiędze naszych wyroków stoi zapisane to straszne słowo: Przepadli! Myśląc nad tem, przypominają mi się niezmiernie trafne słowa Lelewela, które o naszym ostatnim królu napisał: ›Stanisław August, jak każdy Polak nieszczęśliwy.‹ Ja nad temi słowami kilka godzin siedziałem. W nich leży ogromna prawda dziejowa, w nich się zamyka cały system historyo-zoficzny...

— Tak, — rzekł na to Dobiesław, — w tych słowach zamyka się cały system historyo-zoficzny... Ale Lelewel te słowa podobno spiący napisał, bo nie licują one wcale z jego wiarą i zasadami. Niech też nas Pan Bóg broni od przyjęcia takiego systemu. Podług niego zwalili-byśmy wszystko na naszą nieszczęśliwość: a wtedy nie pozostało-by nam nic, jak ugiąć nasze karki pod brzemieniem nieszczęścia i milczeć. Żeśmy nieszczęśliwi od wieku, któż tego nie widzi? Ale każdy skutek ma swoją przyczynę. Więc dlaczegośmy nieszczęśliwi? Bośmy jako Naród i Państwo upadli i jesteśmy dziś wystawieni na igraszkę złych losów i ludzi. Ale dlaczegośmy jako Naród upadli? Bośmy nie chcieli i nie umieli naszemu upadkowi zaradzić. W tych słowach, mój xieże Grzegorzu! leży ta wielka prawda dziejowa, która powinna urodzić cały system filozoficzny dziś dla nas potrzebny, ale nie w tamtych, które ukochany przezemnie Lelewel raczej jako litościwą jałmużnę dla króla, niżeli jako prawdę dziejową napisał. Nie radziliśmy sobie wtedy, nie radzili potem, nie radzimy dziś: i w tem leży całe nasze nieszczęście. Ale zaprawdę czas już jest wielki, ażebyśmy zaprzestali wierzyć w takie pogańskie przesądy, jak fatalne nieszczęście, i w takie chorobliwe fantomy, jak miłosierdzia sąsiadów, — a zamiast tego uwierzyli nareszcie w siebie i w tego jedynego Boga, który powiada: ›Kto sobie pomaga, temu ja pomogę.‹ Ja przynajmniej mam zawsze tę wiarę i jestem zawsze gotów do pracy. Z taką pracując wiarą, nie przypominam sobie ani jednej rzeczy, którą-bym zamierzył a której-bym nie osięgnął. Tak-by się działo każdemu, gdyby miał taką wiarę i pracę: i tak-by się działo nam wszystkim, gdybyśmy wszyscy wzbudzili w sobie tę wiarę i wzięli się razem do pracy...

Te kilka słów otrzeźwiły wikarego jak ze snu. Wyprostował się w krześle i rzekł:

— Powiedziałeś prawdę, której nikt nie zaprzeczy. Ale czy i to prawda, że ci się wszystko zawsze powiodło, co przedsięwziąłeś? A zamiar kupna Grodowisk? —

— To jeszcze rzecz nie skończona.

— Jakto? — zapytał wikary, zrywając się z miejsca, — wszakże zerwałeś z Niemcami?

— Zerwałem umowę dobrowolną, ale przecież jeszcze nie odstąpiłem zamiaru.

— Nie odstąpiłeś? O! mój najdroższy! jakże cię kocham za to marne słóweczko! — Ale proszę cię, cóż teraz poczniesz?

— To... obaczymy — rzekł na to Dobiesław. — Rzecz ta jest godną dokładnego rozmysłu, bo tajemnicą jest dla mnie, dlaczego Prusacy, pomimo że się znajdują w położeniu tak rozpaczliwem, odrzucają moje oferty w każdym razie takie korzystne? O ile rozpoznałem ich stan finansowy i ich wzajemne do siebie stosunki, zdaje mi się niepodobieństwem, ażeby im mogła była jakaś stanowcza pomoc przypłynąć zkądinnąd. Jestem prawie pewny, że mógł tu zajść tylko następujący wypadek. Oto rozeszła się wieść po okolicy, że ja przyjechałem, że przyjechałem z wielkiemi pieniędzmi, że może nawet liczę na jakąś pomoc pieniężną z Francyi i że chcę Grodowiska koniecznie zakupić. Na podstawie tej wieści, którą zapewne sami rozsiali, uzyskali u swych wierzycieli spokój chwilowy — a uzyskawszy czas, myślą że wszystko zyskali, bo im się zdaje, że ja się zniecierpliwię i dam im się ze skóry obedrzeć. Jeżeli tak jest, to omyłka ich będzie szkaradną. Bo ja się pewnie nie zniecierpliwię — a teraz nawet przeciwnie, ich zniecierpliwię. I bodaj-by to tylko nie było ze znacznemi dla nich stratami.... Nie chciałem tego, Bóg mi jest świadkiem. Za wyniszczenie mojej ojcowizny, za znieważenie moich rodzinnych pamiątek, za krzywdy naszego ludu, chciałem im się dobrą wolą wywdzięczyć: ale mnie odtrącili od siebie. Teraz pójdziemy uporem na upór: ząb za ząb i oko za oko. Och! jakże-by mi tu mógł być pomocnym Krzesław! Pomocą swoją mógł-by połowę swoich przewinień odkupić! Ale to trudno. Dlatego, że on brata odstąpił, ja moich braci nie odstąpię — i pójdę w tę drogę bez niego....

Niezmiernie się temi widokami Dobiesława zajęli obadwaj xięża i długo w noc z nim rozmawiali. Nareszcie wygodny kanonik zaczął drzemać pomału i skończył na tem, że się do snu ułożył: ale staruszek z młodzieńcem nie spali przez całą noc, naradzając się nad dalszem postępowaniem przeciw Prusakom.

Jakieś dziwne nieszczęścia zaczęły odtąd prześladować właścicieli Grodowisk. Wszystko w polu wyginęło marnie. Nie było rąk do roboty. Na próżno wypytywali się Prusacy o Dobiesława — nawet wieść o nim zaginęła!

Tymczasem Dobiesław był od Grodowisk bardzo niedaleko i wszyscy o nim wiedzieli: tylko tym obcym przybyszom, nie mającym ani stosunków, ani przyjaciół w kraju, trudno go było odszukać. Zerwawszy z nimi i chcąc ich zostawić do czasu ich własnemu losowi, zaczem będąc zupełnie wolnym w tej chwili, pojechał odwiedzić swoich krewnych, Wapnowskich. Odwiedziny te były nawet jednym z jego obowiązków najpilniejszych, — a to nietylko dla tego, iż byli to bliscy jego krewni i nieszczęśliwi, — ale także dla tego, iż jego brat Krzesław obszedł się z nimi tak niegodziwie, że pewnie tam jego imię zostało przeklętem, co wymagało koniecznej ze strony Dobiesława naprawy.

Gdzież byli Wapnowscy? — Czy byli już dzisiaj nędzni, czy tylko ubodzy? — Czy w swoim materyalnym upadku popadli za przykładem Niemców w brudy, występki i zbrodnie? czy potrafili swoją zacność zachować nawet i w nieszczęściu? — Wszystko to nas nadzwyczaj z bliska obchodzi, nietylko dla nich, ale także dla tego, iż dziś takich podupadłych rodzin jest w naszym kraju bardzo wiele a wszystkie mniej więcej zachowują się jednakowo.

Otóż o parę mil od Starodziek, trochę głębiej ku górom, ale w dość położystej okolicy a w miejscu nadzwyczajnie zacisznem, leży niewielka wioska, która nazywa się Wierżbna Wioska ta należała wtedy do pewnego prawnika, który niegdyś, dopóki piastował urząd publiczny, zajmował się interesami Wapnowskich. Był to człowiek obcego niegdyś nazwiska i pochodzenia, ale pomimo to nie był wcale Galicyaninem: bo urodziwszy się na ziemi polskiej, wychowawszy i wyżywiwszy się na niej, stał się już z młodu, jak wielu innych jemu podobnych, najwierniejszym jej synem. Był on też człowiekiem zacnym i powszechnie kochanym — a nawet swemi cnotami i zasługami doprowadził do tego, że jego nazwisko, aczkolwiek obce, brzmiało w uszach całej prowincyi dźwiękiem zupełnie swojskim i daleko piękniejszym, niżeli niejedno z tych nazwisk rodzinnych, które zna jeszcze Paprocki, ale które pomimo to wywołuje bardzo nierodzime oddźwięki. Jest to wielkim dla Polski zaszczytem, że mimo swych cierpień, ubóstwa i poniewierki, w której dziś żyje, umie tak miłościwie przygarniać do siebie nawet obce rodziny: wszakże jeszcze daleko większym zaszczytem jest to dla owych rodzin, bo trzeba bardzo wzniosłą mieć duszę, ażeby się zbratać z nieszczęściem...

Takiej też cnocie miał Stanisław Wapnowski do zawdzięczenia los swój dzisiejszy. Albowiem znalazłszy się nagle bez dachu i posiedzenia a znając wypróbowaną zacność swego dawnego patrona, wprowadził się nawet bez zapytania do Wierżbnej. Pojechał potem do niego i uzyskał bez żadnej trudności nietylko dzierżawę tej wioski za cenę pomierną, ale nawet swobodę płacenia rat z dołu. Wszystko to było dla niego z nieobliczoną korzyścią: bo najpierw, zostawszy się po nagłej sprzedaży Starodziek prawie bez żadnych funduszów, nie był-by był w stanie wziąć żadnej innej dzierżawy; a powtóre, zamieszkawszy we Wierżbnej, pozostał się blisko Starodziek, na czem bardzo wiele mu zależało, bo tam nietylko miał jeszcze znaczne na gromadach zaległości bierne, ale także nadzieją odmówionej na teraz indemnizacyi.

Jednakże jakiż-to los jest dzierżawcy? — Zapewne że teraz mało które przedsiębiorstwo jest korzystniejszem jak dzierżawa w Galicyi, choćby tylko dlatego, iż wypuszczają zazwyczaj swe dobra tylko właściciele tacy, którzy sami nic z nich wyciągnąć nie mogli, a zatem wypuszczają je tanio; ale te korzyści stoją otworem tylko dla dzierżawców takich, którzy mają znaczne kapitały i są gospodarzami z profesyi. Dzierżawca ubogi, bez odpowiednich funduszów, do dzierżawy zmuszony, to nędzarz wieczysty.... Przecież Wapnowskich, łaska Boża, pomoc poczciwych ludzi a głównie ich własna roztropność, ochroniła przynajmniej od tej nędzy, która jest odrażającą; owszem, zachowała ich przy tem ubóstwie, które dla serc niezepsutych ma w sobie coś pociągającego...

Bardzo poczciwym był przez całe życie właściciel Wierżbnej, wielkiego majątku nie zrobił, zaczem jego wioska była dosyć chudobną. Na niewielkiej wyniosłości, nie o podal od rzeki, stał mały dworek drewniany, słomianą nakryty strzechą, z gankiem opartym na czterech słupach. Stał on po staroświecku w ciasnocie gospodarskich budynków, ogromnych sadów i rozległych warzywnych ogrodów, a na małym dziedzińcu rozlegała się lipa tak ogromna, że swemi rozłożystemi konary zacieniała prawie całe obejście. Do tego jeszcze całe to obejście było jakby obmurowane sążnistemi płotami z gęstą, cierniową koroną, a wjazdu strzegła olbrzymia brama, drewnianemi zjeżona kolcami. Wjechawszy tutaj, zdawało się jakoś tak ciasno i duszno i tak bardzo ubogo, że się aż smutno robiło na sercu. Jednak po krótkiej chwili całkiem inne opanowywało przybyłego gościa wrażenie. Była tu bowiem przedewszystkiem taka cisza.... jaką na tej ziemi tylko grób jeden dać może. Na taką uroczystą, wspaniałą ciszę zdobywa się także czasem natura: a wtedy wyrastają człowiekowi jakoby skrzydła od ramion, jego duch wznosi się na nich wysoko i widzi tęczowe brzegi zakrytych przed nim zaświatów. Są to jedyne chwile, w których duch ludzki, brzemieniem ciała przykuty do ziemi, ma jasne widzenie swojej wiekuistej przyszłości. Chwile takie pozostają nam zwykle na zawsze w pamięci i w każdej ciszy wracają do nas jako daleko więcej urocze i zachwycające wspomnienia, niżeli najpiękniejsze sny naszej młodości.

W takiej chwili, w dzień letni, gorący, ale już dobrze schylony ku wieczorowi, zajechał Dobiesław do

Wierżbnej. Zajechał przed bramę a zastawszy ją zamkniętą, zlazł z wózka i wszedł pieszo przez fórtkę. Przy fórtce spotkał człowieka, od którego się dowiedział, że pana nie masz w domu, ale że wyszedł tylko na pole i niebawem powróci. Dobiesław pomimo to wszedł na dziedziniec i chcąc na gospodarza zaczekać, siadł na ławeczce pod lipą. Siedząc oglądał się po obejściu z uwagą, ażeby ze szczegółów tam znalezionych zrobić sobie pojęcie o położeniu swych krewnych. Jego oko, przyzwyczajone we Francyi do błyszczących dachówek i murów, do szpalerów i trotoarów nawet w siedzibach ubogich rolników, widząc tu strzechy słomiane i węgły drewniane, uczuło się dotkniętem bardzo niemile. Przypomniał sobie pyszny pałac w Starodziękach, tamtejsze budynki, dziedzińce, ogrody — i przykro mu się zrobiło, bo zdało mu się, że widzi głodną, obdartą i niezaradną nędzę przed sobą. Ale pomału to pierwsze wrażenie zaczęło przemijać. Ten spokój poważny, ta uroczysta cisza, która tu znalazł a która się nędzy nigdy nie trzyma, zaczęła jego duszę całkiem inaczej nastrajać. W tej ciszy zniknęły mu prędko z przed oczu zagraniczne wspomnienia: a objawił się przed nim tylko kącik ojczystej ziemi, może niejednem przyciśniony cierpieniem, ale nawet w cierpieniu Bożym ubłogosławiony spokojem. I zniknęły mu wszelkie murowane, kryształowe, złocone przybory człowieka, podług których zmaterializowane oko dzisiejsze mierzy nieszczęście lub szczęście: a stanął przed nim człowiek sam, jak się jego dusza i serce na otaczającej go naturze wyciska. A wtedy obaczył, iż było tutaj ubóstwo, ale nie brakowało piękności ubóstwa. Domek był mały, lecz wybielony czyściutko, przez okna wyglądały jasne firanki, pod oknyma kwitnące bujały krzewy, a dziedziniec był umieciony jak pokój. Duch porządku i pracy był tutaj widocznym, — a przy nim nie było widać wcale niedostatku lub głodu. Owszem przeciwnie, w przytykającym tuż do dziedzińca ogrodzie było widać grządki pouprawiane starannie a na nich jarzyny porozrastane prawie potwornie. Pomiędzy spiętrzonemi na sobie olbrzymiemi liściami buraków i brukwi wystrzelała kukurudza wysmukła jak sosna; wędrowne dynie powyłaziły na zarośnięte bujnym powojem płoty i świeciły swojemi żółtemi łysinami jak słońce; w gęstwinę leśną rozbujały na tykach wiecznie kwitnące fasole — a brzegiem ciągnęły się jak tanecznice w balecie różnobarwnemi kwiaty błyszczące malwy i ślazy. Środkiem tego wszystkiego prowadziła ścieżeczka zielonym po obu stronach bryzowana barwinkiem — a na jej końcu znajdowała się obszerna baniasta altana, okryta bujnemi liśćmi dzikiego chmielu. Za altaną i w koło domu był sad, — ów sad staropolski prawdziwy: gdzie-to gałęzie drzew starych, obwieszone owocami tak gęsto, że liści nie widać, zginają się pod ich ciężarem do ziemi, — gdzie grusze stare przenoszą swemi pochylonemi czołami wysmukłe topole, — gdzie całe gaiki malin plączą się między drzewami, ułaskawiona sarna wita przychodnia błyszczącemi oczyma, zając się pasie na koniczynie, a mchami zarosły dąb, niosący na swojem czole gniazdo bocianie, strzeże od kilku wieków tego ubogiego dobytku. Od tych ogrodów roznosiła się woń, owa woń pomieszana, pełna, sycąca, woń tłustej, rumianej, obładowanej owocami natury, — a w koło lipy brzęczały roje roboczych pszczółek, świadcząc jawnie, że nie brak tu nawet słodyczy...

Dobiesław przypatrywał się pilnie tej bogatej chociaż tak mało znanej światu naturze, — przypatrywał się pracy tych ludzi, którzy może niezręcznie i nieumiejętnie, jednak pracują tyle, że praca ich zaspokaja głód i pragnienie a nie staje się namiętną, nienasyconą, zwierzęcą pogonią za zyskiem, — przypatrywał się wreszcie tej staropolskiej zagrodzie, która może od czasów Bolesławowskich nie zmieniła swojej postaci, lecz z której za to Bolesławowski duch jeszcze dzisiaj zawiewa... W tej uroczystej, poważnej ciszy dusza jego się nastroiła na tón wysoki, jego uczucia rozlały się po ziemi rodzinnej, jego duch cały zebrał się w sobie i zbił się około jednej myśli, jednej idei, jednego pragnienia. I przypomniały mu się wszystkie obrazy, jakie napotkał na ziemi ojczystej; i odezwał się w jego sercu jakoby jakiś niepokój, jakaś niepewność, jakaś obawa; i uczuł się jakoby zbłąkaną sierotą, przeczuwającą gdzieś niedaleko pewne schronienie a niemogącą go znaleźć...

O duchu ojczysty! gdzież ciebie szukać? —

A wtem przez okno, zapewne otwarte, ale nie wychodzące na otwarty dla całego świata dziedziniec, odezwały się głośne i dźwięczne akordy. Ktoś, jakby zniecierpliwiony długiem czekaniem, lub może dotąd do innej niemiłej pracy przykuty, dorwał się wreszcie fortepianu i rzucił się drżącemi rękami na jego klawisze. Przepyszny-to był instrument! miękki jak puchy łabędzie, rozlewający swe śpiewne tony jak wietrzyk oddechy wiosny, a grzmiący przytem w potrzebie jak ocean w burzy: zaledwie się można było takiego instrumentu w takim ubogim dworku spodziewać.

Dobiesław zbudził się nagle jak ze snu i całą duszę swoją uwięził w uchu... Z początku trudno było coś wyrozumieć. Widać tylko było, iż ręka mistrzowska, wszechwładna i pewna, targa swawolnie tę arfę stojącą, jak wicher letni targa zwierzchnemi szatami tej ziemi, zanim sprowadzi burzę i po niej odsłoni nowe i świetne obrazy. Tak i w tym świecie tonów tarły się z sobą gradowe chmury, grom uderzał po gromie, sypały się iskry palące, aż wreszcie rozlała się sroga ulewa długiemi strumieniami jęków i łez... Klimakteryczny wybuch targającego swe więzy serca przejął się pomału, ulewa zmieniła się w deszczyk kroplisty, nareszcie w mgłę: lecz słotno i szaro było na ziemi. Mglistą oponą okryły się pola, schylone płakały drzewa, w dali było widać jakby dymiące lasy, a w pobliżu jakby kościółek z cmentarzem. Na tem zamglonem tle coś słychać. Jakieś piosnki ludowe, pomieszane ze sobą, urywane i znów poczynane... To pacholęta wiejskie, owinąwszy się w płachty, usiadłszy w koło, śpiewają na polu, a echo powtarza ich dźwięki.

Na tem zamglonem tle coś widać. Sierotka idzie, w szarą okryła się płachtę, idzie po pod płoty za drogą i płacze. Zaszła na cmentarz i uklękła na grobie pod krzyżem.. Cichutkie tony, jak szemranie deszczyku, jak szmer liści na drzewie, szepcą sierocą modlitwę. Modlitwa się wzmaga, jak wiatr kołyszący drzewami; jeszcze się wzmaga i w żal się rozgłośny rozlewa... — O matko moja! tak mi tu duszno na świecie! tak ciężko w tej pracy! tak tęskno za tobą, za ducha swobodą, za grobem! Gdziekolwiek jesteś, na łasce Boskiej, na zmiłowaniu ludzi, czy w niebie: och! weź mnie do siebie! oh! weź mnie do siebie! — I łzawym rozniosła się płaczem.... I słychać było jęk bolu i ciche kwilenie, i łzy padające i łzy połykane... A potem cisza na chwilę. — Lecz zaraz cudowna arfa odezwała się w głosy zaziemskie. Stubarwna tęcza się rozwinęła na niebie, promień słońca się przedarł przez chmury, duch spłynął po nim i mówi: — Dzieciątko moje! na skronie swoje znów własną ręką cierniową wciskasz koronę! Wznieś wzrok twój ponury i serce do góry, i spojrzyj śmiało za podniesioną w tej chwili zasłonę! Jam jasna, świetlana, od Boga kochana, lecz tylko cierpienia mnie moje zbawiły. I twoje cierpienia są krzyżem zbawienia, lecz do ich zniesienia trza ducha, trza siły. Rzuć płacze, rospacze, żałości i jęki; to wszystko bez dzięki! to wszystko bez dzięki! A wtomiast wzbudź siłę, wzbudź wolę, i z gwiazdą nadziei na czole idź na twe cierpienia i bole. Oh! ciężka-to droga! Ale u Boga ten tylko nagrodę posiędzie, który ją mężnie przebędzie, kogo nie zdejmie ni rozpacz ni trwoga! Oh! ciężka-to droga i żmudna, ale dla ciebie nie trudna.... — Tak mówił duch — a z jego głosu wylało się całe morze spiewnych i coraz weselszych akordów. Szumiała taka swawolna burza przez chwilę, śród niej odzywały się porozrywane dźwięki różnych piosnek ojczystych, rosło serce i rosła fantazya....

Dobiesław się wzdrygnął w tej chwili, bo uczuł jakby magnetyczne wstrząśnienie. Ale wesoło się wzdrygnął, tak wesoło, że aż mu się dusza rozśmiała. Cisza już była: a jemu się zdało, jak gdyby wciąż jeszcze słyszał tę pieśń natchnioną, ten chorał pobożny. Cisza już była: lecz jego myśli biegły jeszcze ciągle tym torem, którym je wiodły ostatnie tony owej arfy cudownej... O duchu ojczysty! Nie trzeba Cię szukać! Ty jesteś! Ty jesteś wszędzie! Każde serce Cię czuje; tylko Cię oko zwątpienia nie widzi... Ciebie chwast przysiadł obcy w Grodowiskiem dworzysku, Ciebie chwast przysiadł domowy w dawnym Wapnowskich pałacu: ale Ty i tam żyjesz. Ty żyjesz w tym czerstwym ludzie, który pod chwastem nawet jak kleszczem żelaznym trzyma się swojej mowy i wiary i ziemi, ty żyjesz w sercach zacnych kapłanów, ty żyjesz w każdym dworku i dworze! — I już się nie czuł zbłąkanym sierotą, szukającym napróżno schronienia, bo widział się swoim, na swojej ziemi i między swojemi. O Boże! dajże, ażeby już został przy tem uczuciu; daj, aby go z niego nie rozczarowali ludzie....

Lecz nie masz tutaj o to obawy.

Bo oto właśnie słychać przy furtce głos gospodarza, pytający wesoło:

— A gdzież ten gość! A gdzież ten gość!

Dobiesław zerwał się z miejsca i ujrzał Wapnowskiego biegnącego ku sobie. Był on odziany w kubrak z szarego płótna, szeroki kapelusz słomiany miał na głowie i kijk laskowy w ręku, ale za to tem szerzej jeszcze otwarte ramiona.

— Jak się masz, kochany tułaczu! jak się masz! — wołał on, biorąc Dobiesława w swoje objęcia i przyciskając z całej siły do piersi.

Przez długą chwilę trzymali się tak obadwaj bracia w milczeniu; poczem się odsunęli od siebie, przypatrując się jeden drugiemu.

Dobiesław patrzał na Wapnowskiego prawie ze smutkiem. W tej biedzie bowiem dziwnie się ten człowiek odmienił. Jego wąsy, dzisiaj już niestrzyżone, zesiwiały zupełnie, a głowa, jeszcze zawsze strzyżona, białym okryła się śniegiem. Na twarzy zmarszczki, już prawie starość, a po niej ślizgał się wyraz nieprzetrawionej dotychczas boleści. Ale w tej biedzie, w tej pracy, bolejący duch jego zrównoważył się z ciałem, bo widać było na jego twarzy rumiane dziś zdrowie a nawet jakoby uśmiech spokojnej swobody.

— Ach! ale jakiś ty młody, mój Dobku! — mówił do niego Wapnowski, — mój Boże! już przeszło ośm lat temu, jak cię widziałem, a zdaje mi sie, jak gdybym cię wczoraj dopiero pożegnał. Musiało ci się dobrze powodzić w Paryżu... z czego serdecznie się cieszę.

— Tyś się cokolwiek podstarzał, — rzekł na to Dobiesław, — musiałeś sobie zanadto przypuszczać do serca twoje niepowodzenia... Ale musiałeś przytem pracować pilnie, z miłością i wiarą, bo mi wybornie dzisiaj wyglądasz. Ja ciebie nigdy nie pamiętam z rumieńcem — a dziś jakie rumieńce! Tyś nawet otył i zmężniał: jest tedy zdrowie — a kiedy zdrowie jest, to jest prawie wszystko, a czego nie ma, to jeszcze będzie.

— Wierzę ci, wierzę, — przerwał prędko Stanisław, — przecież i ty przetrwałeś biedy niemało, a był-byś jej pewnie nie przetrwał bez wiary. Ale dosyć o biedach. Powiedz-że mi, kiedy przyjechałeś? Słyszałem o twoim przyjeździe, czekałem i prawie już czekać przestałem...

— Przepraszam ciebie, mój Stasiu! Chciałem, ale nie mogłem. A kto temu przeszkodził? tylko bieda, interesa, rachunki, o czem wszakże jeszcze będziemy mieli dość czasu pomówić....

— Tak się spodziewam, bo przecież zabawisz czas jakiś u nas. Tylko nie z takiemi ceremonyami. Przyjechałeś i zasiadłeś w dziedzińcu. Przecież Klotylda jest w domu...

— Klotylda? — rzekł Dobiesław jakby do siebie, — słyszałem ją grającą. Grała cudownie... Musiała już pięknie wyrosnąć. Pewnie-bym jej nie poznał... Ale dobrze mi było i tutaj. Podziwiałem tę bujność

naszej rodzimej ziemi. Jakież-to drzewa, jakie kwiaty, jakie jarzyny!

— I myślałeś sobie: co-by to z tej ziemi mieć można, gdyby ją umiejętnie uprawiać!

— Przeciwnie! podziwiałem bujność ziemi, ale podziwiałem i waszą pracę. Czegóż ty chcesz, mój Stanisławie! ten wasz ogródek warzywny jest tak obrobiony, że można-by go posłać na pierwszą wystawę świata. Jeżeli macie takie urodzaje i w polu, to chociaż niby jestem jakimś agronomem, ukłonię wam się do kolan i gotów jestem przyjąć u was terminowanie.

— Oh! pracujemy! ciężko pracujemy, — rzekł na to z westchnieniem Stanisław, — smutne-to rzeczy! Ale przyznam ci się, — dodał wesoło, — że w tym moim smutku mam wielką pociechę, a tę pociechę przynosi mi właśnie praca. Jakże-to dzisiaj ulatują mi dnie, miesiące i lata! Ani wiem, jak ten czas mija, a przecież mija nie bez pożytku dla mnie i dla drugich. Czemuż mi tak nie minęło całe życie!

— Tak, — odpowiedział Dobiesław, — praca jest jedynym żywiołem, który może to życie nasze uczynić znośnem nawet w największych zkąd innąd nieszczęściach. Praca to godność, to cała wartość moralna, to siła, to zdrowie, to szczęście, to źródło niewyczerpanych pociech człowieka. Najszczęśliwsi i najweselsi ludzie są ci, którzy pracują. I obaczysz, jak cały humor naszego narodu się wtedy odmieni, kiedy już raz przyjdziemy do jasnego pojęcia wartości pracy...

— I ja tak sądzę, — podjął Wapnowski, — dadam wszakże do tego, iż tylko wtedy praca wpłynie istotnie na zmianę naszego humoru, jeżeli ją odżywimy w sobie w duchu naszym rodzimym. Pracownicy dzisiejsi, zwłaszcza w materyalnych zawodach, są to najczęściej ludzie smutni, z zachmurzonemi czołami, z ciemnicą w duszy, z jakiemś nieznośnie mglistem powietrzem w umyśle. Patrząc na nich, zdaje mi się zawsze, jakobym widział w nich cudzoziemców obcej twarzy i ducha, chociaż wiem dobrze, że nasza krew ich zrodziła. Przecież i u nas od najdawniejszych czasów znano się na wartości pracy — i nie brakowało nam ani pilnych rolników, ani zapobiegliwych ekonomistów, ani nawet spekulantów, handlarzy, dusigroszów i skąpców; ale jakoś mi oni wyglądali inaczej. Oddawszy się swoim specyalnym zawodom, choć czasem także popadali w skrajne ostateczności, przecież nigdy nie zabijali w sobie polskiego ducha i polskiej fantazyi — a to bardzo ważne są rzeczy...

Dobiesław zamyślił się nad tem, bo podobno nie zupełnie zrozumiał: kiedy w tem otworzyła się brama dziedzińca na ścieżaj i przedstawiło mu się widowisko, które właśnie stwierdzało zdanie Stanisława faktycznie. Zajmujące-to było widowisko. Na czele szedł znajomy nam kapitan Mateusz, w płóciennej kitli z amarantowym kołnierzem, na głowie zaś miał mały słomiany kapelusz z kipiącą fantazyą przewieszony na bakier. Zawsze jeszcze cierpiał na astmę, romatyzm i kolki, i hulał jak dawniej, ale mimo to niósł swoję kulę wysoko jak sztandar i prowadził całą kompanię żniwiarzy z takim zapałem, jakby miał na armaty uderzać. Prowadził ich nawet w porządku, bo wszyscy parobcy, baby i dziewki, byli uszykowani w szeregi i musieli krok trzymać jak wojsko. Brakowało mu bębna, lecz i na to sobie poradził, bo śpiewał sam jakąś piosnkę wojskową a parobcy mu wtórowali. Tak raźnie, wesoło i lekko, powracał zawsze kapitan z pola; tak przechodził zazwyczaj przez całą wieś, — około jego szeregów biegły wiejskie chłopięta śpiewając i skacząc, a za niemi wlokły się zwolna ciężkie-ładowne wozy fornalskie. Tak też wmaszerował i dzisiaj w dziedziniec, a za nim zamknięto natychmiast bramę, bo taki był rozkaz. Stanąwszy w dziedzińcu, uszykował wszystkich w trzy oddalone od siebie szeregi i zaczął je prostować okiem i kulą. Przy tej robocie zawsze tysiące figlów wyprawiał — a lubo przy tych figlach uraczył jednego szczutkiem w nos, drugiego potraktował szturhańcem, na trzeciego milion wysypał piorunów; nikt przecież się na niego nie gniewał, owszem tem hałaśliwsza panowała wesołość. Dopiero uszykowawszy i zlustrowawszy dokładnie szeregi, szedł niezmordowany Mateusz meldować do dworu, że wszystko już do wypłaty gotowe; ale jak zawsze, tak też i teraz, czekała już Klotylda z woreczkiem pieniedzy przed oficyną — i zaraz przy pomocy dwóch polnych zaczęła się wypłata.

Dobiesław stał z gospodarzem niewidziany pod lipą i przypatrywał się tej scenie z wesołem zajęciem. Widząc kapitana skaczącego jak frygę w około, pilnującego aby kto nie wziął zapłaty po dwa kroć i zamawiającego robotników na jutro, nie mógł się nim nacieszyć i mówił:

— Przedziwny jest ten twój Mateusz. On będzie żył trzysta lat i zawsze będzie jednaki.

Tymczasem Wapnowski zawołał:

— Kapitanie! a prosimy Wpana do siebie.

A kiedy się kapitan do nich przybliżył, Stanisław rzekł:

— Patrzaj-no Mateuszu, kogo-to Pan Bóg nam przyniósł; poznajesz?

Przypatrzył się kapitan zbliska Dobiesławowi, lecz odpowiedział:

— Niech mię wszyscy dyabli wezmą, że nie wiem....

— Jakto? — zawołał Wapnowski, — nie poznajesz-że Dobiesława?

— Dobiesław! — zawołał na to Mateusz, wyciągając swoją kościstą rękę ku niemu, — tyś-to? brat tego zdrajcy Krzesława, co nas z Starodzięk wyrzucił? — Tyś-to? ten człowiek poczciwy, co się tyle nacierpiał? co był we Francyi, na wygnaniu, w tułactwie? — Ty z Francyi powracasz? — mówił kapitan coraz powolniej i czulej, i patrząc mu przytem w oczy jak w tęczę, — hej! hej! mój Boże! a cóż tam we Francyi?... Czy żyje tam jeszcze Mikołaj Szubin, mój podchorąży, co mi życie ocalił pod Ostrołęką? A stary Maciej Kowadło bez ręki zdrów jeszcze? A Kuba Włodek, co słyszę kamienie musiał łupać na

szosie, czy jest jeszcze na świecie? Hej! hej! mój Boże! oni tam nadzy, odarci i głodni, oni! tacy żołnierze, tułacze, ludzie zasłużeni! a mnie tu błaznowi jak w raju!— I ty tam byłeś pomiędzy nimi? ty od nich wracasz? tyś sam cierpiał wraz z nimi? Jam nie wart rozwiązać rzemyka u twoich trzewików...

To mówiąc zacny Mateusz cisnął coraz mocniej Dobiesława za rękę, i cisnął tak mocno, że aż łzy sobie wycisnął z oczu, i pociekły mu strumieniami po twarzy...

Rozczulony tą sceną Dobiesław ujął go za rękę i rzekł:

— Siadajmy, — kochany mój Mateuszu! będziemy rozmawiać o Francyi. Będę tobie opowiadał wszystko co każesz.

— Siadajmy, — odpowiedział Mateusz, — ja się tobie napatrzyć nie mogę. Ja ciebie ztąd nie wypuszczę; musisz wysiedzić w Wierżbnej choć ruski miesiąc...

Mateusz już całkiem zapomniał o robotnikach: w obec tak żywych wspomnień o rzeczach ojczystych znikało mu wszystko z pamięci. Jakoż widząc to, rzekł zaraz Wapnowski:

— Siedź-że sobie zdrów, Mateuszu! a ja pójdę cię przy wypłacie zastąpić.

Trwało milczenie przez chwilę, śród którego Dobiesław się przypatrywał kapitanowi z wielkiem zajęciem, kiedy wtem kapitan zmienił nagle wyraz twarzy do niepoznania i rzekł:

— A wiesz ty, co się tu stało?

Dobiesław siedząc przy nim patrzał na niego, lecz milczał. On zaś ścisnąwszy go silnie za rękę powyżej kostki, tak mówił:

— Tu paskudne porobiły się rzeczy. Twój brat Krzesław okazał się łotrem wierutnym. Wiesz ty, co on porobił? Zaprzedał Niemcom Grodowiska, a nas, spisawszy się na to z nimi, paskudną sztuką ze Starodziejk wyrzucił! Czy słychana to rzecz? —

Tu umilkł na oka mgnienie, patrząc Dobiesławowi w oczy tak zbliska, jak gdyby o nim samym to mówił; poczem odsunął się znowu i tak rzecz swą prowadził:

— To łotr na wielki kamień! To taki sam łotr, jak ci, co ojczyznę ryczałtem sprzedali. Oni ryczałtem, a on zaprzedaje ją po kawałku: czy to nie jedno?— To taki sam łotr, jak ci, co to ich niegdyś w Warszawie...

To mówiąc, podniósł głowę, wyciągnął szyję i przejechał palcem po szyi.

— Hej! — mówił dalej, — chciałem ja jemu sprawiedliwość wymierzyć! Miałem już dubeltówkę nabitą i zasiadłem na niego przy bramie. Był-bym mu w łeb strzelił jak psu, niech-by mnie potem i rozstrzelano! A co tam! pal go kat! już mi się i tak nie wiele należy.... Ale mnie Klodzia wyszpiegowała i zaklęła. Więc mu się jeszcze teraz upiekło....

Wytrzymał chwilkę, mrucząc; poczem palec przyłożył do nosa i grożąc tak mówił dalej:

— Ale co się odwlekło, to nie uciekło. I obaczysz, że on będzie wisiał. Ja sam wezmę go za kark i powieszę na własnym dębie: ja! jak mnie widzisz! jak'em Mateusz!

Znowu wytrzymał chwilę, sapiąc mocno jak miechem, poczem tak skończył:

— Bo co to! Jeden szmat ziemi ojczystej zaprzedał cudzoziemcom, drugi szmat ziemi wysmyknął z pod swego brata i rozsiada się na nim ze swojem plugastwem: i to mu ma uchodzić bezkarnie? — I jeszcze śmie pokazywać się ludziom na oczy, i ludzie go cierpią pomiędzy sobą, kłaniają mu się i bywają u niego: czy to jest rzecz? Ludzie nasi już tak zgałganieli, że już nie mają zdrowego sensu w głowie, ani zdrowego uczucia w sercu: ale jam nie zgałganiał i są jeszcze tacy, którzy ze mną trzymają i trzymać będą do śmierci. I będziesz widział, że ten zdrajca źle skończy. Skończy jak zdrajca, bo też nim jest — i chyba ślepy tego nie widzi! —

To rzekłszy, zaczął kapitan tak mocno sapać astmatyczną swą piersią, że aż coś w niej skrzypiało....

Tymczasem ta przemowa smutne sprawiła na Dobiesławie wrażenie. Sąd wyrzeczony o jego bracie był wprawdzie tylko zdaniem pojedyńczego człowieka a nawet człowieka takiego, który jak widać z jego wyrażeń stał na niskim szczeblu oświaty; człowiek ten był przytem nieoględnym, nierozmyślnym, gwałtownym a w sądach swych osobistym: ale mimo to wszystko trudno mu tego zaprzeczyć, iż miał serce w gruncie swym zdrowe, a sąd, chociaż zanadto gwałtowny i nieoględny a oprócz tego w dość ciasnym obracający się zakresie, lecz w gruncie rzeczy także nie chorowity. Ogół społeczeństwa ma także serce i sądy takiej samej natury. Serce to dzisiaj spi, bo go ukołysały biedy, uciski i inne nieprzyjazne okoliczności; lecz lada chwila to serce ogólne się zbudzi, choćby tylko dlatego, że taka olbrzymia potęga na wieki zasnąć nie może. A kiedy się zbudzi, to jakim-że głosem przemówi? Cóż powie o takim Krzesławie i całej garści jemu podobnych? —

Dobiesław zamyślił się nad tem i bardzo smutno mu było. Przykład ten bowiem obudził w nim wiele myśli niezmiernie ważnych, myśli żywotnych i że tak powiem koniecznych. Myśli te nie były w nim jeszcze w tej chwili zupełnie jasne: lecz przywoławszy sobie na pamięć to wszystko, co dotychczas znalazł w swym kraju, otworzył przed sobą już dosyć jasne widoki. Ztąd już w tej chwili obaczył w tym kraju jakoby dwa prądy duchowe, oznaczone wybitnie pod względem polityczno-społecznym a całkiem niepodobne do siebie. Czyli obadwa te prądy były tylko dwiema emancypacyami jednego i niepodzielnego ducha żyjącego w historyi? czyli się pod wpływem zewnętrznym wyrobiły z pomieszania pierwiastków i swoich i obcych z tego sobie nie mógł zdać sprawy na razie. W każdym jednak wypadku zdawało mu się rzeczą pewną, iż obadwa te prądy biegły niegdyś ze sobą w kierunku równoległym — a dopiero z postępem czasu i

okoliczności zaczęły się rozbiegać ze sobą, aż wreszcie się tak rozstrzeliły, iż dziś widać nawet obustronne promienie biegnące wprost przeciw sobie i stające jakoby do walki ze sobą. Widok ten był dla niego, pragnącego nie zwycięztwa stronnictw nad sobą, ale zwycięztwa ducha narodowego nad obcą przewagą, niezmiernie przerażającym. Jakiekolwiek bowiem Bóg nam zgotował chwile, sposobne do nowych na rzecz ducha narodowego zdobyczy, w każdej z nich widział przedwszystkiem innem rozdwojenia narodu, gwałtowne wybuchy i starcia, przekleństwa i pomsty...

I czuł to, jak ważną, jak konieczną było-by rzeczą te myśli zawczasu zdrowo i trzeźwo rozpatrzyć; lecz czuł zarazem, że tu ni miejsce ni pora po temu. Jego niecierpliwe serce parło go ku myśleniu: a tuż za sobą słyszał już głos gospodarza wracającego ku nim. Spamiętał sobie tedy tylko ten przedmiot myśli, aby go zachować na później — teraz odwrócił się ku Stanisławowi, który mówił:

— Przyprowadzam ci jeszcze trzecią osóbkę naszej rodziny, ostatnią już, ale bez kwestyi najlepszą. Patrz, jakie ma ręce zaczernionie od miedziaków, któremi wypłacała żniwiarzy....

Była to Klotylda.

Dobiesław spojrzał na nią i wprawdzie nie stanął jak wryty, co się już dzisiaj wydarza tylko w powieściach, ale uczuł się pod wpływem niezmiernie miłego wrażenia. Klotylda była piękną w całem tego słowa znaczeniu, łącząc w swojej piękności świetność pysznego kwiatu z świeżością dojrzałego owocu. Była przytem ubraną niezmiernie skromnie: miała szeroki słomiany kapelusz na głowie a na sobie szlafroczek z szarego płótna, od lnu na grządkach aż do tkackiego warsztatu sprodukowanego we Wierżbnej. Wyglądała dlatego tem piękniej, bo jak wspaniała kulista róża zaszczepiona na prostym głogu i stojąca samotnie na samorodnym gazonie. Czemuż o tej prostej i naturalnej sztuce podniesienia piękności nie chcą wiedzieć nasze kobiety! Ileż-by przez to drogiego czasu zyskało się dla uczuć szlachetnych i wzniosłych, który dziś się wypala na ołtarzu próżności! Ileż-by się przez to zyskało pieniędzy na xiążki, ryciny i nóty, na upiększenie domku ojczystemi pamiątki, na wychowanie dziatek, tej jedynej nadziei dobrej przyszłości narodu. Ileż-by przez to zyskało szczęście rodzinne, ile ginące już dzisiaj dobre pożycie sąsiedzkie, ile okoliczne ubóstwo, ile w ogóle cała w ubóstwie żyjąca ojczyzna!— Dobiesław, pomimo to a raczej właśnie dlatego, że miał oko zepsute na najwyszukańszych strojach niewieścich, był zachwycony tą niezrównaną prostotą. Już dlatego samego uczuł się silnie pociągniętym ku Klotyldzie; lecz jeszcze więcej dlatego, iż słyszawszy ją niedawno tak cudnie grającą, mógł się na pewne domyśleć, jak piękna i wykształcona pod tą wiejską skromnością kryje się dusza. Jakoż ściskając jej rękę, zaraz po pierwszych grzecznościach, rzekł do niej:

— Chociaż pani nic o tem nie wiesz, myśmy się przecież już dzisiaj bardzo zbliska widzieli...

— Pan byłeś przy oknie... rzekła z rumieńcem Klodylda.

— Oh! gdzietam! ja tu siedziałem pod lipą, ale słuchałem pilnie kiedyś pani grała. I jeżeli mnie zarozumiałość moja nie łudzi, to byłem z panią wszędzie, gdzie się ówczesne myśli i uczucia poniosły.

— W takim razie byłeś pan bardzo daleko.

— O! bardzo daleko, bo aż tam, gdzie serce stęsknione ziemskiego spiewaka rzuca się z taką niecierpliwością na swoją arfę, jak spragniony wędrowiec w pustyni na źródło wody krynicznej, — i tam, gdzie dusza sieroty skarzy się z swoich cierpień i bolów,— i tam, gdzie się modli na grobie umarłych, — i tam, gdzie duchy niebieskie spływają po promieniach modlitwy na ziemię i przynoszą sierotom pociechę... Ale pociecha ta nas orzeźwiła i wróciliśmy potem na ziemię, spiesząc do domu z pieśnią nadziei na ustach. Czy tak?

Klotylda słuchała go patrząc mu w twarz z nietajonem zdziwieniem; wszakże potem spuściła oczy ku ziemi i zamyśliła się.

— Chodźmyż już nareszcie pod dach — rzekł na to Stanisław — bo i herbata już nas oczekuje.

Szli tedy do dworku. Dobiesław szedł koło Klotyldy i milczał; ale ona przerwała milczenie i rzekła:

— Pan musisz być bardzo muzykalnym..,

Dobiesław uśmiechnął się na to i odpowiedział:

— O! bardzo. Przed laty piętnastu miałem grać gamy i Jeszcze Polska nie zginęła, a dziś już tylko Wlazł kotek na płotek.

— Jakto? nic? — spytała Klotylda.

— Nic a nic, — odpowiedział Dobiesław.

Wszakże wtedy siedzieli już za stołem, na którym stały półmiski i filiżanki — a Klotylda nalewała herbatę. I nalała najpierwej Dobiesławowi, co było bardzo w porządku, potem nie nalała ojcu, który zawsze herbatę pijał, a nalała Mateuszowi, który jej nigdy nie pijał, co jej się po raz pierwszy w życiu zdarzyło. Spojrzał na nią podniósłszy głowę Mateusz i rzekł:

— A asińdźka co robisz?

Zlękła się jego głosu Klotylda, zerwała prędko nalewkę i polała Mateusza kipiątkiem po ręce i ramieniu. Syknął kapitanisko jak wąż, ale rzekł ze śmiechem:

— Całuję rączki asińdźki dobrodziejki! I zalałaś mi filiżankę temi ziółkami, i jeszcze mnie poparzyłaś...

— Sama nie wiem, co mi się stało — odpowiedziała na to zmieszana Klotylda.

Ale wiedziała dobrze, co jej się stało. Ona się tak bardzo zapatrzyła na Dobiesława, że aż straciła przytomność — a to wszystko z powodu tej jego niemuzykalności a przecież tak muzykalnej przenikliwości. Niczem bowiem mężczyzna nie potrafi tak pewnie zwrócić na siebie uwagi kobiety, jak kiedy jej myśli odgadnie. Wiadome-to rzeczy!

Wiedział o tem także Dobiesław. Ale właśnie dlatego, że wiedział, udał, że nic nie wie i nic nie

widzi, i zaczął rozmowę obojętną a o wszystkiem. W rozmowie tej, która trwała do późna w noc, unikał starannie tego wszystkiego, co-by mogło bliżej dotyczyć Klotyldy, udając względem niej obojętność zupełną. Srogi-to był człowiek ten zresztą dosyć poczciwy Dobiesław. Ale tak być musiało, właśnie dlatego, że w gruncie serca nie był już wcale obojętnym dla Klotyldy. Miał on już bowiem lat przeszło trzydzieście. W takim wieku ma się już pewne zasady i umie się nawet najgorętszym uczuciom silne zakładać pęta. Nie kocha się kobiety, dopóki się jej nie pozna—a chcąc ją poznać, właśnie nie trzeba dać jej poznać, że się ją chce poznać.

Ale Klotylda, daleko mniej się znająca na grze uczucia niżeli na fortepianie, zawsze nie wiedziała, co się z nią dzieje. Była więc tylko smutną przez cały wieczór i poszła daleko wcześniej spać, niżeli to miała w zwyczaju a nawet niżeli na dziś wypadało. Zadziwił się temu ojciec, zadziwił się nawet Mateusz; ale Dobiesław się wcale nie dziwił, bo doskonale rozumiał, o co rzecz chodzi. Wiedział on dobrze, ile każda kobieta ma do tego pretensyi, aby się nią zajmowano. Tak ją Bóg stworzył; taką jest jej natura; bez niej nie osiągnęła-by nigdy swojego celu. Dobiesław więc wiedział o tem, dlaczego Klotylda wpadła w humor tak kwaśny i wiedział także, ile jej swojem zachowaniem sprawia przykrości; ale chodziło tu o rzeczy ważniejsze, dlatego swego postępowania względem niej wcale nie zmienił i wytrwał w niem blisko tygodnia...

Wszakże ośm dni czasu były dla niego aż nadto dostatecznemi, nietylko do poznania całego domu, ale nawet Klotyldy...

Jakoż po ośmiu dniach przekonał się nieszczęśliwy tułacz ku swemu szczęściu, że ani takiego domu, ani takiej rodziny, dawno już nie widział.

Ubóstwo tam było, wielkie ubóstwo; trza było ciężko i bezustannie pracować, ażeby tyle zarobić, ile potrzeba było na utrzymanie skromnego życia. A życie to musiało być skromnem koniecznie, bardzo skromnem, ani podobnem do tego, jakie się niegdyś wiodło na Starodziękach. W najlepszym razie zaledwie wystarczało na ubior płócienny w lecie, na grube sukno w zimie, na chleb pytlowany, na filiżankę herbaty... Ale mimo to wszystko im trudniejszem było ich położenie, tem pilniejszą ich praca — a im głębszem uczucie potrzeby pracy, tem sumienniejszą uczciwość. Dobiesław badał pilnie wszystkie domowe i gospodarskie stosunki, bo im lepiej poznawał Klotyldę, tem więcej na tem mu zależało. Ale nietylko, że nie znalazł nigdzie nic takiego, co-by mu się nie podobało, lecz owszem znalazł wiele rzeczy takich, któremi nawet sam mógł się zbudować. Dobiesław, jako człowiek oświecony gruntownie a przytem głęboko moralny, był niezmiernie ścisłym we wszystkich pojęciach a zatem także niezmiernie surowym; alež tam była także surowa moralność we wszystkich kierunkach. Bruździło wprawdzie w ich ładzie domowym Mateuszowe skąpstwo i jego żołnierska wolność sumienia w postępowaniu z ludźmi; bruździła znów z drugiej strony czasami idealna szlachetność Stanisława i jego hojność: ale za to nad obudwoma czuwał tak pilnie rozsądek Klotyldy, iż żadna z tych wad nie pociągała nigdy za sobą złych skutków. A czego jej rozsądek dokazać nie mógł, tego dokazała jej miłość, która umiała natchnąć, przejąć i związać ze sobą dom cały. Toż uważał Dobiesław z niemałem zbudowaniem dla siebie, jak tam przy tem ubóstwie każdy człowiek okryty i syty, jak każdy sługa z serca przywiązany do domu jak dla wspólnego dobra godziły się z sobą wręcz sobie przeciwne przymioty Mateusza i Stanisława, jak wreszcie w domu nigdy nie brakowało niczego, jak było zawsze miejsce wygodne dla gościa, jak był czas do pracy i czas do rozrywki, jak nawet nie brakowało w tym domku xiążek i dzienników i były zaopatrzone wszystkie potrzeby moralne! A wszystko to działo się sprawą Klotyldy, zawsze rozsądnej, nigdy niespracowanej, dźwigającej widocznie ciężar nad swoje siły, lecz dźwigającej go tak, jak to prawdziwej uczennicy Chrystusa przystało...

Przekonawszy się o tem Dobiesław, zmienił swoje postępowanie — i odtąd można ich było widzieć codziennie oboje, czy to pod lipą, czy w ogrodowej altanie, wiodących długie ze sobą rozmowy...

Jednakże przez ten czas Stanisław sam, który nie wiele miał przy gospodarstwie zajęcia, także nie mało nagadał się z Dobiesławem. Wychodzili oni obadwaj codziennie w pole i trawili po kilka godzin za domem. Na takich wycieczkach Dobiesław obznajamiał się z trybem gospodarstwa tutejszym i dawał Wapnowskiemu stosowne a zawsze bardzo praktyczne rady,— nawzajem zaś Wapnowski opowiadał mu historyę tych wszystkich zdarzeń, przez które przeszedł podczas jego tułactwa. Był on oczywiście tak delikatnym, iż usiłował wszystkie te krzywdy, jakich od Krzesława doświadczył, jaknajoględniej przedstawiać; ale są fakta, których brunatnej natury nie zdoła zmienić żadna oględność w opowiadaniu. Dobiesław tedy dowiedział się wszystkiego o swoim bracie — a to go głębokiej nabawiło goryczy. Zrozumiał go Wapnowski i starał się go pocieszać; ale on tylko ręką machnął na to i rzekł:

— O tyle tylko będę się mógł z tych postępków mojego brata pocieszyć, o ile je będę w stanie naprawić!

Za to szlachetne przekonanie Wapnowski go tylko ścisnął w milczeniu za rękę i odtąd już o Krzesławie ani wspominał.

Wszakże po kilku dniach musiał się Krzesław stać znowu przedmiotem ich rozmowy, bo przecież musiano także nareszcie pomówić o losie Dobiesława. A wtedy znowu Wapnowski dowiedział się o nowych Krzesława występkach, co-by mu było może niejaką ulgę przyniosło, gdyby nie to, iż z serca pragnął, ażeby się Dobiesławowi wiodło jak można najlepiej, a dowiedział się właśnie, iż mu się powiodło najgorzej. Nie długo jednak debatowano nad tem, opowiedział bo-

wiem Wapnowskiemu z kolei Dobiesław, jakie ma zamiary względem Grodowisk i na czem ta sprawa stanęła. Dowiedziawszy się o tem Wapnowski i wyrozumiawszy całe jego postępowanie z Prusakami, pochwalił mu to, lecz rzekł niecierpliwie :

— Postąpiłeś sobie bardzo rozumnie, ale bodaj czy nie z zanadto wielką pewnością siebie...

— Nie obawiaj się o to, — odpowiedział mu Dobiesław — sprawa Grodowisk jest dziś w takim stanie, że jej się nikt chwycić nie może. Ja się obawiam raczej o co innego.... Obawiam się o to, iż kupiwszy Grodowiska, przepadnę w nich ze wszystkiem co mam i mieć mogę...

— Oh! to najpróżniejsza obawa! — zawołał Wapnowski, — ani ci się śniło o tem, z jaką łatwością wybrniesz z tych długów, które ci pozostaną. Ja byłem w daleko trudniejszem położeniu na Starodziębach, a gdyby nie Krzesław.... lecz dajmy pokój. Tylko się spiesz, mój kochany! o! spiesz się, bo szczęście jest bardzo kapryśne.

Dobiesław już na to nic nie odpowiedział, ale był niezmiernie uradowany z tego, że Wapnowski mu jego zamiary pochwalił. Ztąd można było się domyśleć z łatwością jeszcze i dalszych jego zamiarów: ale ojciec Klotyldy, człowiek najbezinteresowniejszy pod słońcem, niczego się nie domyślał....

Tymczasem niebawem już okazało się, że Dobiesław we wszystkiem sobie rozumnie postąpił. Albowiem już w kilka dni potem, nie dowiedzieli się wprawdzie Prusacy o jego teraźniejszym pobycie, ale dowiedzieli się ich wierzyciele. I zbiegli się tłumem do niego, prosząc go, błagając, nudząc i narzucając mu się ze swemi długami.....

Jest dosyć upowszechnione mniemanie, że tylko złe wieści rozchodzą się lotem błyskawicy po ludziach. To prawda, ale nie całkowita; bo takim samym lotem rozchodzą się także i wieści dobre, tylko na tamte, jako na rzecz wyjątkową więcej zazwyczaj zwracamy uwagi. Tak samo dzieje się także i z reputacyą pojedyńczych ludzi. Zła reputacya bardzo się prędko rozszerza: i jest to dobrze, bo zyskuje na tem bezpieczeństwo ogółu. Reputacya dobra zyskuje się powolniej, co także jest dobrem z tegoż samego względu na ogół. Wszakże są wypadki, gdzie reputacya dobra rozchodzi się jeszcze daleko prędziej niżeli zła, a to natenczas, kiedy zastanie gotowy już kontrast przed sobą. Tutaj był także taki wypadek. Wierzyciele Prusaków, oszukawszy się na nich i straciwszy w nich wszelką wiarę, dość mieli na tem, kiedy się tylko cokolwiek dowiedzieli o Dobiesławie, ażeby się go chwycić rękami i nogami i ślepą go obdarzyć ufnością. Tak też się stało. Kiedy się go jedni prosili, ażeby ich długi pokupił za połowę wartości, a drudzy rozkładali wypłatę na długie przeciągi lat, trzeci oddawali mu swoje obligi, mówiąc:

— Weź tylko, a dasz nam co zechcesz i kiedy ci się będzie podobać.

Tak w kilku dniach Dobiesław stał się właścicielem prawie wszystkich długów ciężących na Grodowiskach, a przez to już jakby właścicielem Grodowisk. Do zakończenia tej sprawy brakowało jeszcze tylko ostatniej z Prusakami rozmowy. Jakoż i to się stało niebawem. W kilka dni bowiem przyjechał do Wierżbnej *Herr von der Ecke* a treść jego przemowy do Dobiesława zamykała się prawie w tych słowach.

— Panie! weź Grodowiska a puść grzeszną duszę moją!

Wtedy Dobiesław mógł wszystko zrobić z Prusakami, co-by mu się podobało. Mógł im wziąść Grodowiska za bezcen, mógł ich trzymać w więzieniu, mógł się mścić na nich jeszcze i w inne a najrozmaitsze sposoby. Zasłużyli oni nawet na pomstę: Któż tego nie wie? — Ale człowiek szlachetny nigdy się nie mści; postępowanie jego może się stać podobnem do zemsty, ale tylko natenczas, jeżeli jedyny środek wiodący go do celów obowiązkowych, musi z konieczności iść tą samą drogą, jaką-by była szła zemsta. Tu zaś nie było tego wypadku, bo cel już był osiągnięty. Więc nie mścił się na nich: owszem przeciwnie, mając dość na tem, że odzyskał swą ojcowiznę, postąpił sobie z nimi pod każdym względem tak szlachetnie, jak tylko było podobna. Krzywił się na to Mateusz, mówiąc do niego swym niekiełznanym językiem:

— Ot! polskie głupstwo! ambicya nad ambicyę, szlachetność nad szlachetności! Gdybym ja był dostał tych Niemców do ręki, był-bym ich zerznął jako kotów we worku. Ząb za ząb a oko za oko! Albo nie zasłużyli?

Ale Wapnowski, który wiedział dobrze, że to nie była ambicya tylko pokora, ścisnął za to Dobiesława z całej siły za rękę i rzekł:

— Postąpiłeś sobie tak, jak Polakowi przystało. Niech ci Bóg za to odpłaci! —

Tak wreszcie Dobiesław stał się właścicielem Grodowisk. Wielka ztąd była we Wierżbnej pociecha! Na wieść o tem przybiegli obadwaj xięża, pozbiegały się Grodowiskie gromady, poprzyjeżdżali nawet nieznajomi Dobiesławowi sąsiedzi, ciesząc się wszyscy tem zwycięztwem swojskiego żywiołu nad obcym. Ubogi dworek Wapnowskiego był przez ten dzień jak karczma zajezdna — a szpiżarnia Klotyldy została wymiecioną do czysta.....

Nazajutrz pojechał Dobiesław z ojcem Klotyldy i kapitanem odbierać swoje dziedzictwo. Odebrał je wprawdzie w wielkiej ruinie, ale przecież nie w takiej, jakiej się po ostatnich zdarzeniach należało spodziewać. Były jeszcze inwentarze i sprzęty gospodarskie w jakiejkolwiej całości; było już coś w stodole i było coś jeszcze na polu. Aby to wszystko utrzymać i żniw jakokolwiek dokończyć, powinien był Dobiesław pozostać się w Grodowiskach i całą siłą się zabrać do

pracy; ale się stało inaczej. On sobie u Wapnowskiego tymczasem kapitana pożyczył i jemu oddał komendę placu — a sam powrócił do Wierżbnej.

Dziwił się temu Wapnowski i zaczął na niego spoglądać bardzo ciekawie — lecz milczał.

Tymczasem trzeźwo myślący Dobiesław, jak zawsze, tak też i teraz wiedział dobrze, co robi.

Z tego, co już pod tym względem, chociaż tylko nawiasem wspomniano, nie trudno się domyśleć, iż Klotylda otoczyła stęsknionego tułacza pewnym urokiem. Tu trzeba dodać, iż był to urok wcale niepospolity... I niema to być dziwnym nikomu, nawet i temu, który się domyśla, że Dobiesław widział już w swojem życiu niejedną piękność i znał niejedną najznamienitszych przymiotów kobietę. Ale nie będzie to dziwnem tylko temu, który poznawszy świat przekonał się dowodnie, jaka jest wielka różnica pomiędzy polską a każdą inną dziewicą. Wiele-by o tem rozprawiać a miejsca za mało; rozumiem wszakże, iż różnica ta da się i krótkiemi słowy określić. Jest oto w naszych dziewicach dziwnie uderzająca, prawie biblijna prostota, połączona z tą wykwintnością wykształconego umysłu i serca, jaką gdzieindziej trzeba szukać tylko w sferach najwyższych, — i oto je tak mocno odróżnia od kobiet całego świata, iż stają się wszędzie po za swoją ojczyzną niepospolitem zjawiskiem. Jakoż można gdziekolwiekbądź na kontynencie tysiąc kobiet przerzucić a ani jednego takiego typu nie znaleźć, jaki się u nas znachodzi prawie w każdym dworze i dworku. O ileż jeszcze typ taki staje się doskonalszym, jeżeli w nim jak w Klotyldzie połączy się jasny rozsądek, szlachetny umysł i to spokojne, pełne miłości serce, które zmieniwszy całe swe życie w nieustający łańcuch poświęceń, jest jakby uwiecznionem natchnieniem! — Dobiesław, który pojęcie takiego ideału wyniósł w swej piersi z domu, szukał jego urzeczywistnienia przez cały czas swego tułactwa; ale napróżno. Na owem rozgwarnem targowisku pracy i kapitału, po którem mu tułać się przyszło, ideałów nie szukać. Tysiące kobiet przesunęło mu się przed oczy, niejedna może zdołała go zająć, niejedna nawet zniepokoiła mu serce; ale żadna z nich nie zdołała wypełnić sobą tej wielkiej duchowej formy, jaka się dla przyszłej towarzyszki jego żywota wyrobiła w jego umyśle i sercu. Wielu dzisiejszej młodzieży znalazło się w tem samem położeniu: i byli tak nieszczęśliwi, że swego ideału nie znaleźli, — i rozbłąkali się z razu, — a potem zamknęli się w sobie i pozostali samotni na zawsze. On był szczęśliwszym: on znalazł Klotyldę. Pojął ją i zrozumiał, — i wypełnił nią całą wnątrz swego ducha, — i był pełen miłości i szczęścia.

W innem zupełnie położeniu była Klotylda. Ona nie utworzyła sobie żadnego ideału tego mężczyzny, którego-by miała wybrać towarzyszem przyszłego życia. Wierna niewieściej naturze, miała zanadto pokory, ażeby się mogła była wdzierać w kierownictwo swoich przeznaczeń. „Otom ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa Twego;" to było jej hasło. Wszakże miała pewne zasady, podług których sądziła ludzi i podług których sądziła każdego, który-by się starał o jej serce i rękę. W dawniejszych stosunkach jej rodziny, kiedy jej się zdawało, że jej zamążpójście przyniesie ulgę troskom rodziców, była w przestrzeganiu tych zasad nadzwyczaj wolną; dowodem tego, że chciała iść nawet za Krzesława: dzisiaj, kiedy się przekonała, jak dalece jest swemu ojcu potrzebną, wyrobiła owe zasady w sobie jeszcze dokładniej i przestrzegała ich jeszcze surowiej. Ale Dobiesław, człowiek wykształcony gruntownie i wielostronnie, z charakterem skończonym i wyrobionym, poczciwy i szlachetny na wskróś, mógł zadość uczynić nawet najsurowszym zasadom. Miał on prócz tego jeszcze ową zręczność i słodycz obejścia, z pomocą której, nie popadając wcale w ową miodową nudność salonowych galantów, która na ludzi myślących womitujące sprawia wrażenie, umiał się łatwo podobać kobietom. Dobiesław tedy podobał się bardzo Klotyldzie, zrozumiany przez nią odpowiedział zupełnie jej wymaganiom — a jego szlachetne zachowanie się względem Krzesława, względem swojego rodzimego majątku, względem Prusaków a nawet względem zubożałej i zapomnianej przez wszystkich jej własnej rodziny, dokonało reszty.

Tak, na podstawie powinowactwa zasad, uczuć i myśli, zawiązało się pomiędzy tem dwojgiem ludzi ścisłe i i sympatyczne porozumienie duchowe — a z niego wyłonił się bujny, silnie zakorzeniony i rozwinięty wspaniale, kwiat obopólnej miłości.

Taką miłość, rodząca się zwolna i przy zupełnem spokoju duszy i serca, należy dobrze rozróżnić od owej krewkiej miłości, która się jako iskra zapala i płomieniami wybucha. Były-to bez wątpienia czasy piękne i pełne uroku, kiedy tylko taka zapalna miłość się rozbudzała po sercach. Były to czasy młodości serca, czasy natchnionych zapałów i w niebo porywających uniesień. Ale te czasy już przeminęły— i taka miłość minęła. Trzeźwiejący z każdym dniem więcej umysł ogólny, który się stara wszystko zrealizować, i tą miłość zrealizował. Co było w niej duchowego, przeszło w skarbnicę duchowych nabytków — reszta została oznaczona piętnem swem własnem i odrzucona jako ziarno zepsucia pomiędzy obyczajowe osady. I dobrze się tak stało: bo nie urodzi się nic wiecznie trwałego z roztargnionego ducha, unoszącego się nad krwią kipiącą i rozstrojonemi nerwami. Wszystkie wielkie i wieczne dzieła tego świata zostały stworzone w spokoju: spokojną ręką rozdzielił Bóg zakłócone ze sobą żywioły — z głębokim spokojem ducha stworzył i opowiedział Chrystus swoją wieczną naukę.... Na taką drogę weszła i miłość dzisiejsza. Nie zrywa się ona jak wichr szalony, nie szaleje jak burza, nie rozdziera ludzkiego serca bez względu na to, chociby miała rozedrzeć samego człowieka; nie porywa ze sobą całej istoty moralnej, nie stawia ślepo na szalę losu obustronnego szczęścia, byle tylko sobie dogodzić na chwilę, choćby się potem znowu rozerwać i unieszczęśliwić na wieki. Ona się rodzi spokojnie i zwolna,

rozwija się stopniowo od ziarnka do listka, od listka do kwiatu, myśli nad sobą w każdej chwili swego rozwoju i rozmyśla troskliwie nad całą swoją przyszłością, do grobu. Dopiero wtedy, kiedy zespoli ze sobą dwa serca, dwie dusze, we wszystkich uczucia i myśli kierunkach, kiedy się sobie uprzytomni na dziś i wytknie swe drogi na jutro — uderza radośnie ręka w rękę, odsłnia asię światu i jako najwspanialsze zjawisko ludzkiego życia, uświęcone błogosławieństwem rodziny i pobłogosławione przez kościoł, puszcza się na ciernistą tego żywota wędrówkę.

Tak prowadził także tę miłość Dobiesław.

I doprowadził ją już prawie do końca. Właśnie dniem przedtem, nim się zjawili Prusacy, stał na tym punkcie, że już się we wszystkiem zrozumieli oboje, choć sobie jeszcze nic nie powiedzieli wyraźnie. Za jeden dzień byli-by już sobie ręce podali na zawsze. Ale tymczasem Niemcy wleźli im w drogę — i ostateczne porozumienie się rozwlekli... Straciwszy z nimi dni kilka, Dobiesław musiał zaczynać na nowo. Mianowicie chodziło mu o to, ażeby się porozumieć co do sposobu życia na przyszłość. Położenie ich było niełatwe: ona nie miała nic a on bardzo mało. Nie brakowało im materyału do urobienia sobie pewnej materyalnej podstawy, bo Grodowiska już były kupione: ale był to materyał nadzwyczaj wiotki — i trzeba było wielkiej pracy i wielkiego zaparcia się siebie, ażeby się ten materyał nie rozchwiał. Klotylda dała już wprawdzie najpiękniejsze dowody tego, iż umie poświęcać się i pracować; ale poświęcała się dotychczas tylko dla ojca, zawsze pod wpływem tej ożywczej choć nieświadomej nadziei, że to poświęcenie się kiedyś się skończy — a poświęcenie się dla męża i swojej własnej rodziny nie ma końca aż w grobie. Myśląc nad tem i widząc, że Klotylda idąc za niego, w pierwszej chwili mienia lepsze na gorsze, zastanawiał się nad tym krokiem i chwiał się i mówił: — Biedne to dziecko! Oh! czemuż nie mam milionów, ażebym jej mógł Starodzięki odkupić, pałac jej wyszklić i wyzłocić, owinąć ją w jedwabie i złotogłowy i otoczyć całym tym zbytkiem tego świata, w którym się urodziła! — I łzy mu w oczach stawały, i tracił odwagę i siły. Ale się zrywał, łzy z oczu ocierał i szedł dalej, bo jakiś duch dobry mówił mu głośno:— Idź tylko naprzód z odwagą i męztwem. Złe, jakie jest, przetrwasz i zwalczysz, a potem będziesz miał więcej szczęścia, niżeli sam się spodziewasz. — Więc szedł i powiedział wszystko Klotyldzie. Ale ona przyjęła ten wylew jego zacnego serca, to troskliwe wejrzenie w przyszłość, daleko spokojniej i mężniej, niżeli on potrafił je wypowiedzieć. Przyjęła je nawet z zadziwiającą pogodą w duszy, z wesołym uśmiechem na ustach, a całą odpowiedź swoją zamknęła w wierszach naszego starego wieszcza, mówiąc:

Któż tak mądry, że zgadnie
Co nań jutro przypadnie?
Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszcze więcej niźli trzeba.

Zrozumiał ją w zupełności Dobiesław, bo w tych kilku słowach odbiła się cała jej dusza, spokojna, jasna i pewna siebie, bo ufna w swoją pokorę i pracę; zaczem ujął jej rękę, przycisnął do ust i rzekł:

— Chodźmyż do ojca.

A ojciec siedział pod lipą w dziedzińcu zadumany i smutny. Widział ich rozmawiających z sobą przez okno i domyślał się, jaka tam sprawa ostatecznie się rozstrzyga w tej chwili. Był on rad temu z całej duszy, jak był rad każdej łasce Boskiej; ale zarazem bolesna miotała nim trwoga, ażali to nie jest łaska ludzka. Dobiesław był tak niebacznym, iż wspomniał o tem i nieraz, że pragnie wszystko naprawić, cokolwiek popsuł brat jego: a on, ojciec Klotyldy, był tak ambitnym, iż nic na świecie nie było tak ciężkiem dla niego jak dobrodziejstwo. Nie mało ma do strawienia wygórowana ambicya wtedy, kiedy jej towarzyszą dostatki; ale dla popadłego w ubóstwo jest ona kulą więzienną.... Wszakże prócz tego był on jeszcze ojcem ulubionego dziecięcia. Jeżeliż to dziecie miało swój los teraźniejszy tylko dla tego zamienić na inny, ażeby się wypełniły szlachetne Dobiesława zamiary względem jego własnego imienia: to bodaj-by był raczej nigdy tu nie przyjeżdżał! — Tak czarne myśli, takie niedowierzanie, tak rozpaczliwe usposobienie serca, przynosi z sobą ubóstwo, pamiętne swoich straconych dostatków i szczęścia!

Wapnowski przyjął młodą parę, idącą ręka w rękę ku niemu, prawie ze smutkiem w oczach i ściągniętemi ustami. Lecz obaczywszy, jak byli rozpromienieni, weseli i szczęśliwi oboje, jak szli leciuchno, trzymając się silnie a prawie niedotykając się ziemi, cóżkolwiekbądź, i on musiał się uśmiechnąć i rozweselić. I nie pytał już o nic, bo odpowiedź na każde swoje pytanie widział wymalowaną w ich twarzach. Jakoż zamiast długiego badania, które już sobie był w części ułożył, objął ich tylko w swoje ramiona, rzęsistemi pobłogosławił ich łzami i rzekł, powtarzając słowa swego dziada Tobiasza:

— Cicho dzieci! cicho! ażeby się nie dowiedzieli źli ludzie, że tyle jest szczęścia pomiędzy nami.

W ośm dni potem, w pałacowym kościółku Grodowiskim, gdzie były groby wszystkich Żydowskich i grób ś. p. Klaudyi, odbył się ślub Dobiesława z Klotyldą. Był to ślub dosyć dziwny w tym kraju, gdzie nawet ubóstwo i nędza nie szczędzi bezpotrzebnych wydatków na zachowanie starodawnych kosztownych zwyczajów. Nikt bowiem z gości nie był na tym obrzędzie, najzacniejszy z gospodarzy Starodzięk służył starostą, najsmuklejszy parobek z Grodowisk był drużbą a najpiękniejsza dzieweczka z Wierzbnej za drużkę. Lecz za to gromady z wszystkich tych trzech majątków przybiegły w tak licznych tłumach na to święto sąsiedzkie, że się zdawało, jakoby odpust był w Grodowiskach. Dlatego też zacny wikary, po odprawionym przez miejscowego proboszcza obrzędzie, nie miał kazania z ambony, tylko mówił ze wchodów kościółka—

i mówił cudnie do stojącej przed sobą pary i otaczających ją tłumów, kończąc wzniosłemi słowy:

— Idźcie i mnóżcie się! Lecz przedewszystkiem mnóżcie się w cnoty waszych praojców, wzajemną miłość, braterstwo i jedność, ażebyście waszą ojczyznę odbudowali duchowo, zanim podoba się Bogu rozkazać, ażeby słowo stało się ciałem!

(*Dokoń. n.*)

Pro publico bono.

(*Dumanie starego szlachcica.*)

„Dziwnie się plecie — na bożym świecie“ —
Powiadał nasz Jan z Czarnolasu;
I dziś nielepiej — nasz świat się sklepi —
Toż gadka stósowna do czasu....

Oh — złe dziś rzeczy — ma świat na pieczy!
Inaczej to niegdyś bywało,
Gdy człek z ochotą — życie i złoto
Pro publico bono niósł z chwałą...

Dziś każdy bratek — ma własny światek,
Jak ślimak swą własną skorupę;
A niech kraj woła: — „ratuj kto zdoła!“ —
To rzuci okrawki i łupę.

Oh — smutne czasy! — bo w sercach kasy
Zakłada łakomstwo obłudne;
A rozum nowy — w liczbach surowy: —
Toż liche to życie i nudne.

Bo dziś mospanie — za grosz dostanie,
Co żywnie podoba się człeku; —
I cześć i cnotę — i wolność złotę,
I drogie pamiątki od wieku...

Bo to, co dawniej — świeciło jawnie,
Dziś poszło jak gałgan na śmiecie;
I ojców prochy — z pod obcej sochy
Wart wicher do szczętu rozmiecie!...

Oh — wspomnieć miło — co się prześniło!
Choć wszystko przepadło tak marnie....
Bo gdzież to godło — co ojców wiodło
I tknąć się nie dało bezkarnie?

Gdzie nasza wiara — ta święta, stara,
Co biła zamorców i chanów;
Gdzież te postacie — co w zbrojnej szacie
Broniły kresowych kurhanów?

Gdzie ten hart duszy — co go nie kruszy
Ni przemoc ni bojaźń o siebie;
Gdzież krew rycerska — i dłoń braterska,
Co pomoc przyniosła w potrzebie?

Wszystkie te wzory — poszły na wiory! —
Lecz nie — nie! — ja mylę się pono: —
Zostały herby — i w mieczach szczerby
Zyskane »*pro publico bono.*«

I stare szaty — i antenaty
Tak sławne z swych dzieł lub orężów: —
Toż niedość długi — rejestr zasługi,
By zwał się synami tych mężów?...

F. W.

Szkółka powszednia dla młodzieży umiejącej czytać i po prostu rachować, ułożona przez Hipolita Witowskiego. — Godło: Módl się i pracuj. — Lwów 1860.

Łechce to próżność naszą, a nawet staje się niekiedy główną podnietą do nadludzkich wysileń, jeżli postawimy się na czele społeczności, wołając głosem wielkim: Za mną, ja was poprowadzę i nie lękam się, choć pierwszy padnę ofiarą! Wieniec bohatera otoczy moje skronie wybladłe, a potomność pielgrzymować będzie do mego grobu, jako do grobu męczennika!... A tam w ukryciu, nieznany prawie i niewidziany człowiek pracuje dnie i nocy cicho i bez hałasu. Przy jaskrawie rozpłomienionym widokręgu niknie cicha praca jego, nikt go nie zna, nikt nie widzi trudu jego. Żaden donośniejszy głos nie wymieni jego nazwiska, a znajdą się nawet i tacy, co krzykną na niego: Po co to siedzisz nad książkami, dzisiaj nie pora na podobną pracę; Dziś twoja praca utonie jak kamień w wodzie, nikt jej nie uzna! Patrz oto niebo goreje nad nami, to przejrzyj i powiedz drugim co widzisz a tysiące ramion podniosą się do góry, tysiące głosów wyrzekną twoje imie!...

Jak z jednej strony uporczywa ślepota na to, co się w koło nas dzieje, nie może liczyć na jakąkolwiekbądź zasługę dla dobra narodowego, tak z drugiej strony nie można pochwalić głosu tych, którzy widząc z dala zaczerwienione niebo, każą nam w bezczynności oczekiwać dnia bożego. W dobrze zorganizowanym narodzie każdy jak w obozie ma swoje stanowisko. Jest przednia straż, tyrajlery i ochotnicy, są placówki, kawalerya i wojsko liniowe, artylerya i rzemieślnicy obozowi. Wszyscy razem służą jednej myśli — a nikt nie weźmie za złe wodzowi, jeżli tenże myśli nad tem, zkądby to wziąść żywność dla wojska na dzień jutrzejszy.

Otóż i w duchowem życiu narodu są te same, co i w obozie potrzeby. Są i tam ochotnicy, którzy pragną zdybać się z nieprzyjacielem i zginąć przed frontem śmiercią bohaterską, ale są i tacy, którzy bez munduru i broni błyszczącej poświęcają całe życie swoje pracy, która ma naród żywić i posilać, gdy jeszcze dłużej przyjdzie mu pielgrzymować przez piaski pustyni do ziemi obiecanej. Ochotnik, co walczy przed frontem, zyskuje oklaski, imie jego głośno się rozchodzi — a tego nikt nie zna, bo ci co po-

żywają owoce pracy jego, nawet nigdy o nim nie wspomną! Jeżeli zaś niebo zapisuje zasługi tych, co tutaj dla jakiej szlachetniejszej myśli żyją i pracują, czyjeż imię będziej wyżej położone?

Tych kilka uwag natrąciła mi książka w czerwono-żółtej oprawie, leżąca właśnie przedemną. Tytuł jej i zakres zdaje się być nader skromnym. „Szkółka powszednia dla młodzieży,“ co umie czytać i po prostu rachować. Biedna książko! pomyślałem sobie. Nie narobisz ty hałasu między ludźmi, nie będą cię oni ani głośno chwalić ani prześladować. Przy dzisiejszych, wysokich tonach jesteś cichą i milczącą — przechodnie przejdą mimo ciebie, jak się przechodzi koło przekupki, która prócz żytnego chleba nie ma żadnych łakoci! A jak trudno odezwać się dzisiaj, że ten chleb powszedni, to przecież podstawą życia, że bez tego chleba nie ma zdrowia i siły.

Pisarz tej skromnej książki nie podaje nam nic nowego. Nie wykrył on żadnego nowego żyjątka, nie wynalazł kwadratury koła, nie obaczył na nocnem niebie żadnego komety, którymby mógł nas zatrwożyć lub pocieszyć. Dla tych, którzy jakie takie wykształcenie mają, są to rzeczy zbyt znane. Ale autor pisał dla tych „co ledwie umieją czytać i po prostu rachować“. Mianowicie dla żeńskiej młodzi jest ta książka wielkiego pożytku. Przy braku szkół publicznych a niemożności opłacania prywatnej nauki, powinna ta książka pożądaną być dla każdej polskiej rodziny.

Szkółka powszednia zaczyna od pierwszych pojęć i mówi o wszystkiem potrosze. Praktyczność jej zależy na tem, że mówi o rezultatach nauki od razu. Nic bardziej nie odstrasza młode umysły od nauki, jak teorytyczne suche wykłady, które i dla dojrzalszej publiczności są prawdziwą torturą.

Chcąc poznać zadanie „Szkółki powszedniej“ zaglądnijmy do przedmowy autora:

„Rolnictwo, rycerskość i pobożność, (mówi autor) są to trzy żywioły naszej narodowości. Rolnictwo przywiązuje nas do ziemi, którą dzierzymy i uprawiamy w trudzie i pracy, Przodkowie nasi słyną poświęceniem życia w obronie imienia i kraju. A dzieje poświadczają, jak skwapliwie krzątali się koło narodowych spraw. Pobożnie żyli nasi ojcowie i prababki — słynne matrony polskie — bo służyli Bogu i kościołowi. Ztąd owe liczne przykłady i wzory domowych i obywatelskich cnót.

„Rolnictwo trudni się wprawdzie uprawą ziemi czyli roli; lecz z niem łączy się jeszcze wiele innych gospodarskich prac i przedsiębiorstw. Wszystkie te prace i przedsiębiorstwa stanowią gospodarstwo krajowe. Gospodarstwo więc krajowe polega na poznanin, uzyskaniu i zużytecznieniu wszelkich krajowych płodów. — Płody te poznamy za pomocą nauki, a tem samem wzbogacimy naszą wiedzę na własny i krajowy pożytek. Nauki zastósowane do potrzeb narodu są podstawą narodowej oświaty. Oświata wskazuje nam więc sposoby, jak i co przedsiębrać i czynić, aby być użytecznym krajowi i żyć na chwałę Boga.

„Wszyscy nie mogą być uczonymi; ale każdy posiada z łaski Opatrzności tyle zdolności i wrodzonego usposobienia, że łatwo może pojąć, zrozumieć i wykonać swoje powinności względem rodziny, ojczyzny... „Otóż są powody, mówi dalej autor, dla których ułożyłem niniejszą „Szkółkę powszednię“ dla początkującej młodzieży — męzkiej i żeńskiej. — Usiłowałem zwrócić jej uwagę na potrzeby krajowe i wyłożyć jak najtreściwiej to, co uznałem za najstosowniejsze. Wszystkiego powiedzieć na raz nie mogłem, *Nie od razu Kraków zbudowano.*

„Pracowałem chętnie i błagałem Boga, aby praca moja wyszła na pożytek moich młodych rodaków i rodaczek przyszłych gospodarzy i gospodyń — obywateli i obywatelek. — Oby Bóg raczył wysłuchać mej szczerej prośby.“

Kto z takiem uczuciem w duszy zabiera się do pracy — do pracy, która mu ani rozgłosu ani materyalnej nagrody za trud nie przyniesie, ten musi rzeczywiście kochać kraj swój i w poświęceniu się dla niego szukać ostatecznej zapłaty. Już z miłości samej nauki można być nauczycielem i dojrzałą młodzież wdrażać w ciekawe tajniki umiejętności — ale aby młode pacholę uczyć stawiać pierwsze kroki, na to trzeba być matką, lub tak je kochać, jak matka kocha.

W „szkółce powszedniej“ uczy się młodzież stawiać pierwsze kroki. Uczy się „co jest naród, ludzkość — jak się człowiek rozwija?... Dalsze napisy rozprawek są: „O zmysłach, o władzach duchowych,“ Bóg, świat i człowiek— Nieśmiertelność duszy -- Ciało, płaszczyzna, linia, punkt— Kąty, koło, okresy, oś, promień, cięciwa. — Trójkąty, wielokąty — etc. etc. — Rozkład promienia słonecznego na 5 głównych kolorów, łamanie się światła, tęcza, jak mierzyć linią prostą na polu? jak mierzyć długość linii na rysunku, węgielnice, jak mierzyć wysokość drzewa, kąt widzenia etc. Drugi oddział mieści: Postać ziemi, widnokrąg, wschód, zachód — spłaszczenie ziemi — jak się oryentować na ziemi, busola, strefy — odmiany księżyca i słońca — atmosfera --- elektryczność — mgła i obłoki— rosa i szron — wiatry — etc. Oddział trzeci traktuje o minerałach, czwarty o roślinach krajowych, a piąty o zwierzętach krajowych.

W drugim tomie zapowiada autor rubryki: Opisanie człowieka. O zdrowiu, chorobach, o sposobach ratowania się w nagłych razach i t. d. Porównanie anatomiczne zwierząt i roślin w ogóle — Opisanie krajów polskich rys dziejów polskich — Początki chemii praktycznie wyłożone, początki mechaniki i opisanie krajowych rzemiosł — Nauka religijno-moralna. W pierwszym tomie zamieścił autor kilkadziesiat rycin wyobrażających przedmioty, o których mówi. W drugim tomie obiecuje również drzeworyty.

Jeden tom „Szkółki powszedniej,“ wynoszący przeszło 22 arkuszy druku w dużej oktawce kosztuje tylko 1 złr. w. a. Jest to bezprzykładnie tania cena, obliczona na większe rozpowszechnienie książki. W ręku młodego chłopca lub dziewczynki będzie „Szkółka powszednia“ miłą zabawką. Spodziewam się, że rodziny polskie zwrócą na nią uwagę, a powodzenie tej książki, zachęci autora do dalszych prac w podobnym, utylitarnym kierunku. Wiele jest u nas chęci, stać na czele narodu i prowadzić go — każdy młody talent poczuwa się do tego obowiązku, i pragnie być widzianym na czele z buławą hetmańską — ale mało jest takich, którzy gdzieś w tylnych szeregach, w szarych kubrakach

prostych żołnierzy, skromni i nieznani, chcą wziąć udział w świętej walce żywota narodowego. Postępują oni wraz z wojskiem, chociaż ich nikt głośno po imieniu nie nazywa, a są już szczęśliwi, jeźli ich od wspólnej pracy nie odepchną. Dotąd jak dzieci, budowaliśmy dóm z góry, od dachu — dzisiaj powinniśmy oddać sprawiedliwość tym, co od fundamentu zaczynają. Praca dla „maluczkich“ i wiekiem i pozycyą społeczną jest węgielnym kamieniem przyszłości narodowej.

X.

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Biblioteka warszawska za miesiąc sierpień b. r. zawiera na czele: Dyaryusz bytności najj. króla Imci Stanisława Augusta w Pińsku i Krystynowie w miesiącu Septembrze 1784.

Dyaryusz zawiera obok szczegółów mniej dla historyi ważnych obraz ruchu przemysłowego i handlowego, jaki się przed upadkiem Polski w tej okolicy rozpoczął, by tem dokładniej po tem Polacy osądzić mogli wielkość straty swojej. Tamta okolica najsposobniejsza do utworzenia komunikacyi między Bałtykiem a Czarnem morzem przez połączenie Wisły a Dniepru wprowadziła na myśl założenia takzwanego kanału muchawieckiego między Muchawcem a Piną, przez co komunikacya dwóch mórz uskutecznioną być mogła. „Komisya więc skarbowa (słowa dyaryusza) zacząwszy ten kanał, przez kilka lat kontynuowała; lecz gdy skład komisyi co dwa lata od sejmu do sejmu odmieniał się i osoby komisyę składające, chcąc w czasie urzędowania swojego przyjaciołom lub sługom swoim dopomódz, dozorców kanałowych często odmieniały; przez co i kopanie kanału szło opieszale i nieregularnie, a tak na sejmach powstały o to narzekania...“ Zrywanie to ustawiczne sejmów i nepotyzm utrudniał wykonanie tego pomyślnego dzieła, jak tylu innych, i gdyby nie prywatne usiłowania niejakiego Butrymowicza, byłby kanał muchawiecki doczekał się prędzej dokonania upadku Polski, nad którym już wtedy tak usilnie najbliższy sąsiad Pińszczyzny pracował, mając w kraju pomocników w owych zrywaczach sejmów, niż własnego ukończenia. Butrymowicz wysłał małą flotę Pińczuków z płodami pińskiej ziemi aż pod Warszawę, gdzie król obaczywszy ich kazał dyaryusz tej podróży, spisany przez Szypra (tj. komendanta floty) i regiestr przywiezionych towarów, między któremi były owe w pieśni o Ziemi naszej opiewane „ryby, grzyby,“ miód i wosk i jaglane krupy złożyć do archiwum koronnego jako „dowód otworzonej tej pierwszej komunikacyi.“ Dalej zawiera się bardzo szczegółowy opis podróży królewskiej, jak się zdaje, przez samego Butrymowicza. Owe iluminacye, owe charakterystyczne w czasach Stanisława Augusta wierszowane przemowy i napisy, alegoryczne przedstawienia rzek połączonych przez kanał muchawiecki, wszelkie parady, uczty i drobne nawet uwagi króla są z dokładnością godną dworskich buletynów opisane. Urocze jest wciągnięcie w udział tych festynów ludu wiejskiego miło widzieć jak szlachcic nie mógł a raczej nie pragnął króla swego lepiej uczcić jak ukazując mu ciągle wesołość, skrzętność, zamożność ludu wiejskiego. To sprowadził kilkadziesiąt chłopców z fujarkami i kazawszy im grać odezwał się do króla: „to jest moja orkiestra, Najj. Panie, lepszej nie mam do przyjęcia Ciebie w moim domu;“— to znowu wyprawia królowi dożynki, przyczem charakterystyczne było to, że król pytał się „co znaczą te dożynki?“ a Naruszewicz dopiero „dał explikacyą“. Dalej oglądanie młynów, foluszów, warsztatów, itp. daje wyobrażenie o wielce przedsiębiorczym duchu Butrymowicza i ruchu przemysłowym, jaki umiał obudzić, do czego wszakże najwięcej przyczyniły się pieniądze hetmana Ogińskiego. Najlepszym dowodem dobrego wpływu tych działań jest historya o żydzie łopatyńskim arendarzu, „który płacił przed objęciem tego majątku przez Butrymowicza arędy 180 złp. rocznie, nie chciał płacić 500 złp., gdy ten objął majątek i wyniósł się do innego pana. Butrymowicz mu powiedział: — pamiętaj, że znowu do mnie powrócić zechcesz, ale nie weźmiesz inaczej arendy jak za złp. 2000 — i tymczasem folwark swój suszyć, majątek chłopów polepszać i młyn nowy budować zaczął; skończyło się na tem, że tenże po kilku leciech powrócił znowu na arendę, i bez żadnej kwestyi 2000 złp. płaci, i to są skutki osuszenia pozycyi i przyprowadzenia folwarku i chłopów do lepszego stanu:“

Ten obraz zabiegów około podniesienia kraju, choć nieliczne tego są przykłady, po pierwszym podziale i niedługo przed drugim, czyni tak bolesne wrażenie jak ostatnie wysilanie się umierającego.

Pan Józef Paszkowski niezmordowanie trwa w przekładaniu szekspirowskich dramatów. Mamy w tym zeszycie pierwszy akt Lira, tej tragedyi, gdzie z największem misterstwem gra namiętności ludzkich utrzymywana jest ciągle na ostatnim rozgraniczu między wielkością a śmiesznością, wspaniałością a ohydą, gdzie prawie każda scena jest dramatem za siebie. Pan Paszkowski ma wielką zasługę, że w jego przekładach Szekspir zostaje, ile możności Szekspirem, nie zaś jak w innych przekładach przebranym z kiepska po francuzku „zamorskim angielczykiem“ — Tenże sam p. Paszkowski dostarczył Bibliotece sprawozdania o literaturze angielskiej najnowszej. Tym razem spotykamy się z przeglądem kilku przeglądów angielskich, bo w Anglii podobnie jak we Francyi służy nazwa Przeglądu prawie każdemu zeszytowemu pismu czasowemu, tak mamy tam Przegląd edymburski, westminsterski, sobotni, kwartalnych kilka i innych mnóstwo. Ciekawa zawiera się tam wiadomość o sekcie takzw. odrodzenia mistyczno-religijnej. Dzieci, kobiety a nawet mężczyzni wpadają w konwulsyjne omdlenia pod wpływem religijnego zachwycenia, a gdy nie są rażone cieleśnie to stają się kaznodziejami, opowiadają widzenia swoje, które miały w czasie katalepsyi lub epilepsyi. Zjawisko to godne uwagi ze względu wielkiego szerzenia się w Szkocyi i Irlandyi i osobliwego wpływu na pobożność i obyczaje. W skutek tego odrodzenia uległy obyczaje ludu nadzwyczajnemu złagodnieniu i polepszeniu, tak dalece że według sprawozdania dzienników „nieporozumienia, jakie w rodzinach miały miejsce, ustały; próżniactwo i niedbalstwo ustąpiły przed zamiłowaniem porządku, oszczędności i czystości: nie

słychać już o walkach kogutów, o złodziejstwach, niedziele uroczyście są święcone; cyfra spraw kryminalnych zmniejszyła się znacznie, a nawet w niektórych miejscach obowiązki policyjne stały się prawdziwą synekurą, pijaństwo prawie znikło.“ Księża, sędziowie, urzędnicy, zresztą najwięksi przeciwnicy tego, za co niektórzy mają odrodzenie, szaleństwa religijnego przyznają „że wynikłości tego ruchu są jak najzbawienniejsze dla społeczeństwa w ogóle, a dla rodzin i pojedyńczych ludzi w szczególności.“ Kronika paryzka zawiera wiadomość o dwóch pojawach odbijających bardzo od ogólnego charakteru dzisiejszej literatury, zwłaszcza francuzkiej. Jednem są Horyzonty niebieskie pracy S. C. Sprawozdawca tak się o tem dziele wyraża: Książka ta wysnuta z serca nie z rozumu, z powodu stylu i treści znalazła w Paryżu grono przychylnych czytelników. Przedmiot wzniosły opracowany ręką kobiety delikatnie, jak zwój brabanckiej koronki, nęci nietylko poetów, ale każdą zadumaną nad przyszłem życiem duszę.“ Zaletą całą a niemałą tej książki jest wiara w przyszłe życie duszy ludzkiej wiara wypowiedziana z poetycznem natchnieniem.

Druga książka odbijająca od dzisiejszej literatnry francuzkiej jest *Etudes et Aspirations* p. Heussej, który „odważnie wystąpił z aleksandrynami“ i z prawdziwą poezyą. Odważnie mówi sprawozdawca, bo książka ta dzisiaj mało znajdzie czytelników właśnie dla największej zalety swojej, t. j. poetyczności. „Myśl dominująca w tem dziele jest bardzo poważna; styl czystością swą przypomina starożytny; wiersz z jednej sztuki ulany; rym bogaty a nie wymuszony. Ileż tu rzeczy przeciwnych powodzeniu!“ pomyślał kronikarz spostrzegłszy to wszystko; a pomyślał w Paryżu, we Francyi, gdzie zawsze (jak sam mówi) na kilkuset znajdzie kilkunastu których rzecz poważna i poetyczna zarazem nie nudzi lecz owszem zajmuje — cóżby pomyślał u nas gdzie ledwie kilku na tysiące takich znajdziemy? Wiadomość o trzecim tomie Pamiętników Guizota zachwalających zawsze rządy Ludwika Filipa, o Bibliotece użytecznej, zbiorze dzieł naukowych dla ludu i inne pomniejsze wiadomości literackie stanowią treść kroniki paryzkiej. O lichwie i kredycie polemika A. Morzyckiego przeciw M. Rozen; Pożary na kopalniach p. Hieronima Łabęckiego; Przeszłość i teraźniejszość ortografii polskiej p. Adolfa Kudasiewicza są to rozprawy specyalne dla których najstósowniejsze miejsce w Bibliotece Warszawskiej, gdyż w innych pismach trudno dla nich o pomieszczenie. Kronika literacka zawiera rozbiory dzieł: Józefa Kremera o Tryptyku p. K. Kaszewskiego i Jana Radwańskiego: Część mądrości ksiąg polskich p. H. Sucheckiego, który dzieło to bardzo zaleca, kładąc je wyżej nad zwykłe wypisy. *Hungaria sacra* ks. Theinera rozbiór J. Bartoszewicza, z którego wyjmujemy zdanie oceniające wartość tego dzieła dla nas: „Jeżeli bezpośredniej korzyści nie odniesie z tych materyałów nasza historyia, mówi J. Bartoszewicz, za to pośrednie będą ogromne. Hungaria sacra objaśni nam znakomicie stosunki nasze do Węgier, i Węgier do południowej Słowiańszczyzny.“ W Rozmaitościach znajdnjemy pod nap.: Włodawa i Różanka bardzo dokładne uzupełnienie wiadomości podanej o Włodawie w starożytnej Polsce T. Lipińskiego i M. Balińskiego. Pożądane są takie uzupełnienia co do całej Polski. — Hr. Fr. Skarbek ogłasza w imieniu jednego z tłumaczów J. S. Milla zasad ekonomii politycznej konkurs do nagrody za najlepszą; Historyę finansów dawnej Polski. Korespondencya z podróży po Galicyi obeznawa dosyć szczegółowo czytelników Bibl. Warsz. z miejscami położonemi przy kolei żelaznej naszego kraju, a z tego co jako rzeczy nowe opisuje, poznać, jak mało kraj nasz znany za kordonem; podobnież i nam się z tamtemi krainami dzieje.

OŚWIATA LUDU.

II.

Czem narody w świecie, tem i ludzie stoją.
W. Pol. Senatorska zgoda.

Niektórzy z badaczów przyrody znajdują, iż w budowie ludzkiego ciała a zwłaszcza w jego stopniowem rozwijaniu i przeradzaniu się, słowem w jego życiu, powtarza się życie wszelkich nieledwie rzędów zwierząt znanych. Tak żyje człowiek sposobem polipa, płazów, ryb, ptaków; gdy już pora nadchodzi, że się musi oko w oko zejść z tym światem godzącym od urodzenia na zgubę jego, a przez tę walkę budzącym go do życia, zaczyna żyć z razu jeszcze zawsze trybem zwierząt to ziarnożerców, to mięsożernych, to drapieżnych, to niedrapieżnych; aż zwolna staje się gmatwaniną zwierzęcości z jakąś inną, wyższą organizacyą Ta wyższa potęga, Prome tej przykuty do skalistej rdzeni ustroju ludzkiego miota nim, wstrząsa narządem nerwowym tłucze sercem, rozognia lub lodowaci jego spojrzenia, by niemi palił albo zamrażał; rysami twarzy porusza, by mówiły nim jeszcze głos przemówi; w końcu obudza głos, by grzmiał i żalił się, by z milionów ust wychodząc jednem brzmieniem stawiał człowieka na równi z bóstwem lub strącał go ze szczytu bóstwa w najgłębszą otchłań przekleństwa, a z jednych ust wychodząc wzniecał burzę narodów albo ją uśmierzał: słowem w człowieku okazuje się obok onego świata przyrody jeszcze inny świat, który sam za siebie całość tworzy, świat uczucia, myśli, czynów — *ducha*.

Przyroda ludzka jest skupieniem pierwiastków żywotnych całej przyrody jak w szkiełku małym skupiają się wszystkie promienie ogromnego słońca.

A duch ludzki nie jestże podobnem skupieniem niezliczonych promieni? które chrzcimy całym słownikiem uczuć, namiętności, wzruszeń, wyobrażeń, pojęć, pomysłów, cnót, przywar, skłonności i t. d. i t. d. Pojedyńcze promienie, pierwiastki przyrodzonego życia ludzkiego mają we wielkiej przyrodzie przedstawicieli całe rzędy, całe światy za siebie stanowiących, które niepełnią nic, prócz jednej lub dwóch spraw żywotnych człowieka. Tak sprawa żywienia się bez śladów czucia a nawet w niektórych bez ruchu dobrowolnego ma wyobrazicieli w licznych zastępach

owych stworzeń, które przyroda postawiła na rozgraniczu między rośliną a zwierzęciem. Drugie łączą sprawę żywienia z ruchem dobrowolnym lecz bez śladu innych spraw żywota n. p. czucia. Nareszcie występują zmysły: czucia w stworzeniach niewidomych, patrzenia w stworzeniach bez słuchu i t. d. stopniowo, tak iż całe rzędy zwierząt przedstawiają nam część mniejszą lub większą ludzkiej natury, a raczej część ogromnej całości, wielkiego organizmu przyrody, ktorego człowiek jest drobniuchnym przedstawicielem.

Podobnież ma się rzecz ze stroną duchową. Pojedyncze uczucia, namiętności, skłonności, cnoty i wady człowieka znajdują się całemi zastępami, warstwami rzeklibyśmy, reprezentowane — w społeczeństwie. Pojedyncze tak zwane stany lub klasy w społeczeństwie przedstawiają pojedyncze zdolności i pierwiastki umysłowego życia ludzkiego użyte ku zaspokojeniu potrzeb jego. Tak zawsze się sprawdza bajka o podobieństwie członków ciała do części składowych społeczeństwa, ta bajka, którą mądry Agrippa uspił wzburzenie ludu rzymskiego.

Chodzi o to, aby członki czuły, że całość stanowią, że do jednego ciała należą — chodzi o to, aby wszystkie warstwy społeczeństwa czuły i uznawały to, że są członkami jednego ciała, że winny stanowić razem jedną całość — *naród.*

To jest i powinno być celem oświaty ludu, to jej początkiem. Każdy pojedynczy powinien się uznawać za obywatela, poczuwać się do praw i powinności wspólnych całemu ludowi.

Jeżeliby tedy kto w niebogłosy wołał, że jest patryotą, ale jakiekolwiek prawo, choćby tylko mówienia albo pisania publicznie w pewnych sprawach, sobie wyłącznie przywłaszczał — takiemu powiemy, że nie zna obywatelskich praw ani obowiązków, że nie posiada ani abecadła patryotyzmu, od którego się oświata ludu winna poczynać. *(D. n.)*

RODZINA POETÓW.

Przed dwoma laty widywaliśmy na ulicach naszego miasta młodego mężczyznę o twarzy przerażającej bladości, i dziwnego jakiegoś na niej rozstroju. Głęboko osadzone oko patrzało na świat z pewnym indyferentyzmem, koło ust sinych zarył się głęboko wyraz na pozór zimnej acz bolesnej ironii. Ujrzawszy go zapytałeś mimowoli siebie, kto może być ten człowiek, i jakie to tajemnice życia wypisały się tak wybitnie na tej niezwykłej twarzy?

Na to trudna była odpowiedź. Widziano jego życie tylko z prozaicznej strony, wiedziano że bywa w tej lub owej kawiarni, w tej lub owej restauracyi. Nazywano go nawet po imieniu, które właściwie było tylko nazwiskiem herbu polskiego.

Na kilka tygodni zniknął nasz tajemniczy nieznajomy z miasta — a w tym samym czasie przyszła z Brodów wieść straszliwa, że jakiś młody podróżny w hotelu wystrzałem z fuzyi życie sobie odebrał. Publiczność tyle o nim wiedziała, że wieczorem tego samego dnia był u konzula rosyjskiego i zasmucony do hotelu powrócił.

Jakie były powody tej śmierci samobójczej, w to nam dzisiaj wchodzić nie należy. Dzisiaj tyle tylko powiedzieć możemy i to uzupełniając niniejszy artykuł Gazety Codziennej, że to był Władysław Słowacki, stryjeczny brat Juljusza, jeden z rodziny poetów, sam poeta.

Oto, co o nim i o drogich pozostałościach Juljusza pisze Prusinowski do Gazety Codziennej:

„Jeszcze jeden autograf, przekonywa nas, że (Juljusz) chwytał skwapliwie każdą okoliczność, żeby mówić o matce, żeby ją polecić sercom garnącym się do niego. Jestto odpowiedź na list z kraju, Władysława Słowackiego, stryjecznego brata Juljusza.

14 marca 1845 r. Paryż.

Ośmnaście lat blisko czekałem, aż ta dziecina, którąm niegdyś widział na ręku piastunki, odezwie się do mnie... List Twój, drogi mi był, ucałowałem jak gdyby to było czoło twoje — albowiem jak na czole człowieka, malowała się w nim męzka dusza, dobre serce i szczere jakieś braterstwo. Niech ci Bóg rozjaśnia te stepowe pola, po których ty z dumką na ustach, lecisz za biednym zającem; niech ci będzie dobrze, w tym domku twoim, którego ja nie znam, lecz maluję sobie myślą oczom duszy mojej, że jest drewniany, otoczony zielenią drzew a cichy wewnątrz i przeświecony często strzałem brylantowego słońca... Ty masz godziny spokojne, ja mój drogi, mam tylko uczucie, wypełnianego ciągle obowiązku; a tyś to jedyne uczuciowe szczęście pojął — boś mi w liście wyraził, że mię za to kochasz i że ta praca moja, połowicę całą miłości braterskiej zyskała u ciebie, do której Ty, drugą połowę pokrewnej, a zawsze w szlachetnych sercach odzywającej się miłości dodałeś. I tak całego mam w Tobie brata, na sercu twojem nieraz oprę znużone czoło ducha mojego — z ufnością myśli moje, do Twego domku poszlę w odwiedziny. Duchy ojców naszych przytomne ci były, kiedyś powziął myśl odwiedzenia matki mojej... Oni oba wiedzą teraz i widzą i chcą związku szczerego między nami. Twierdzą, że ten tylko być może, kiedy się w boleśnem sercu tej wdowy spotkamy i umiłujemy. Do niej więc zbliż się mój Władysławie i ukochaj ją. Bez niej, drogi mój, oto ja przez piętnaście lat, walczyłbym nie o sławę imienia naszego, ale o nędzny kawałek chleba, który tu na bruku leży.... błotem nieraz okryty — a jednak celem jest walki ludzi zgłodniałych... Bo wiedz, że dopiero po dziesięciu latach książki moje zaczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać. Ona więc mnie starego, drugi raz piersią karmiła. A cóż powiedzieć o łzach i boleści za mną uronionej... Na tę pamięć, zaklinam cię mój Władysławie, bądź dla niej jako syn, a ja wiem, że ona będzie ci matką. A ty przy niej, chłopcze mój stepowy, skraśniejesz — bo dzieci przy matkach, mają rumiane twarze i rosną prędko... Co do mnie, proszę cię, niech ja będę przytomny w domku twoim, czy to doń szczęście, czy niepomyślność jaka zapuka. Serce moje, które teraz dziwnie odkwitło i pełne jest miłości dla ludzi, wierz mi, że całe serce twoje pojmuje i z wszelkiej piękności w tobie odkrytej, uraduje się.... Nie zmieniaj się, bo z listu twego i z poezyj twoich, widzę,

żeś piękny jest i wzniosły duchem — ale rośnij.... Z tych niebios szerokich, nad Tobą rozwieszonych, pij Boga — i tym Bogiem, w siebie wetchniętym, działaj. Niechaj cię otoczy gromada przyjaciół, którzy w tobie Erazmową i Euzebiuszowską razem potęgę myśli i czucia poczują — a kto dusze nasze, chociaż przestrzenią rozdzielone, zbliżą się do siebie i nierozłączą się na wieki.... Gdybym cię tu miał, przez ogień serca mego przepuściłbym ciebie — i stopił jak kawał ołowiu — a z tego uścisku, oddał ludziom złotem szczerem... Daruj mi ten wykrzyknik— są to nieraz krzyki ducha mojego, kiedy walczy, z światowej formy uporem.“

Twój — Juljusz.

Trudno nie przyznać, że list ten, jest nieoszacowanym materyałem do biografii Słowackiego. Poznajemy go tu, jakim był dla bliskich, siebie, i jakim być chciał dla wszystkich.

Władysław Słowacki, do którego list pisany, urodził się 5 listopada 1826 r. we wsi Iliaszówce w okolicy Żytomierza z ojca Erazma i matki Anny z Rohozińskich Słowackich. Skończył życie 16 kwietnia 1858 roku. Erazm był rodzonym bratem Euzebiusza — i ztąd powyższe wspomnienie w liście, obu braci. Zacny ten i światły człowiek pod koniec życia, w późnym już wieku był członkiem Izby kryminalnej od wyborów i około 1837 r. mieszkał w Żytomierzu, w ustronnym domku, położonym pośród ogrodu, zacienionego odwiecznemi lipami. Znałem go w tym właśnie czasie. Staruszek, aspirując do autorskiego powołania — tradycyjnego niejako w rodzinie Słowackich — pisał wiele, probując formy dramatycznej, lecz rękopisy te nie ukazały się w druku. Wiek zrobił go nieco ekscentrycznym, wszystkie ławki swego ogrodu, dwuwierszowemi sentencyami zapisał — a urządzona na najwyższej lipie mała altanka, była najmilszem dla niego miejscem odpoczynku, gdzie przyjmował poufałych gości. Przy tem patronował amatorskiemu teatrzykowi, jaki się czasowo był tu zawiązał i składającą go młodzież, przyjmował u siebie — radami i książkami obdarzał.

Sądzę, że ustęp ten, dający obrazek literata dawnego autoramentu, nie będzie dzisiaj nadto — gdy tegocześni tak zwani literaci, tak już są inni. Wolni są może od małych ekscentryczności domatorstwa, które zarzucano dawniejszym — a z któremi tak im było do twarzy — lecz natomiast ta gorączkowa chęć mniemanego rozpromieniania się na zewnątrz, pozbawia ich wszelkiej możności umysłowego skupienia i poważniejszych studyów. Może mniej mają drobnych przebaczonych śmiesznostek, ale za to częstokroć więcej trywialności.

Lecz głównie Erazm Słowacki, oddawał się wychowaniu syna — jedynaka Władysława. Pedagogiczna rutyna, jakiej używał, była może za ciężką dla młodocianego umysłu, a żmudne zadawanie lekcyi na pamięć i popisy z nich przed gośćmi — o ile z jednej strony, nie mogły dać zasmakować w pracy, o tyle zkąd inąd musiały wpłynąć niepoznacznie na rozwijanie się wysokiego o sobie rozumienia młodzieńca. Władysław Słowacki zawcześnie stracił ojca, korzystając z niezależności, wylał się na życie hulaszcze, kozacze — koń, burka i step —, pomimo małego wzrostu i słabej kompleksyi młodzieńca, stały się jego ideałami;— a chwilowy kierunek naszej poezyi kozaczo-ukraiński, zbyt optymistycznie pojęty przez ogół — usprawiedliwiał i podsycał rojenia młodej głowy. Zamiast grona przyjaciół, jakich mu Juliusz życzył, zamiast cichej pracy ducha i naukowych ćwiczeń, otoczyło go towarzystwo młodzieży, widzącej życie tylko z jego roześmianej, łatwo dającej się ująć strony. Wrodzone zdolności, pośród tego chaosu i drobnych uciech, nie mogły oczywiście rozwinąć się i oskrzydlić. Pióro lekkomyślnie chwycone mogło tylko notować zygzaki samopas lecącej myśli i marnotrawionego uczucia. Wszędzie jednak widne iskry wrodzonego talentu, przytłumione naciskiem, dotąd niestety, popularnych u nas wyobrażeń, o celach i obowiązkach klassy posiadaczy ziemskich.

Dotykamy tej kwestyi, z powodu jej szkodliwości, i mylnego odnoszenia do historycznej tradycyi. Wkorzeniło się u nas przekonanie, *że człowiek dobrze urodzony*, to jest, mający *siaki taki* mająteczek ziemski, pozwalający mu mieć uajtyczankę i cztery konie, nanosi krzywdę sobie i obywatelstwu, jeżeli się *dopuści* osobistej pracy. Majątkowe środki, tych mniemanie uprzywilejowanych filarów społecznych — częstokroć są tak ograniczone, że zaledwo pozwalają na bardzo mierną egzystencyą, a wiele potrzeb nieodbitych do ukształcenia, pozostają dla nich niedostępne, lub co gorsza nie czują ich braku. Wolą jednak poprzestać, na tem *co Bóg dał*, to jest na familijnym spadku, niżeli zdobyć nowe środki osobistą pracą; mniej bacząc, że te spadkobiercze zasoby wyczerpują się, i coraz mniej prodokują — jak łany ich posiadłości niepodsycane uprawą. Zazwyczaj człowiek pracy, bez tej nieszczęsnej gwiazdy dziedzictwa, łatwiej zaopatrzyć może siebie i swoją rodzinę w nieodbite warunki ukształcenia. Lecz tradycya, zabrania jąć się pracy dla siebie i nad sobą nawet, choćby podobało się tentować o powołanie autorskie. Ztąd u nas taki niedostatek ludzi specyalnych, a autorstwo, pojmuje się tylko, z arabeskowych kwiatów belletrystyki — przezco nie mamy dzieł naukowych, poważnych, traktujących o danym przedmiocie ze znajomością rzeczy. A rzadkie tego rodzaju książki, nie mają pokupu. Przesąd ten, daje się streścić w regułę: że każdy z tych panów rodzi się *in potentia*, zdolnym i przeznaczonym do wszystkiego, winien więc używać życia spokojnie i z uśmiechem pogardy lub politowania, dla pracujących nad czemkolwiek, bo jest przekonany, że *dość mu jest chcieć, żeby stać się czem chce*. Chorobliwe te paradoksa, obok braku ludzi specyalnych na każdem stanowisku, przypominają pomimowolnie, słowa p. Bogusławskiego, w jednej z jego komedyi: że tam, gdzie każdy synek, jest geniuszem od pieluch, nie ma kogo obrać na podsędka!

W roku 1847 Władysław Słowacki, wydał w Kijowie, kilka drobnych szkiców prozą, pod zcudzoziemszczałym tytułem: *Narracye*, przepełnionych cudzoziemskiemi wyrazami, i zepsutych poglądem na świat i stosunki prywatnego życia, także nie naszym.

Wyższej jest wartości, pozostała w rękopiśmie powiastka, pod tytułem: *Uścisk trupa*. Młody bohater powiastki, rojąc o wysokich celach przyjaciela ludzkości, z powodu miłosnej intrygi, w którą się wplątał, ginie w po-

jedynku. Autor, jako myśl ostatnią, wkłada mu następujące zdanie:

„To kara sprawiedliwa — kapłan ludu, jak kapłan wiary, nie powinien przykuwać się do ziemi łańcuchem osobistego uczucia, bo zginie, i śmierć jego, nie będzie miała nawet zasługi męczeństwa.“

Podobną być musiała i ostatnia myśl autora...

Lecz oto kilka wyjątków z poetycznych próbek Władysława Słowackiego, które jako czytane, i uważane za dobrowróżbne przez Juljusza, nabierają już przez to samo prawa do wiadomości powszechniej. Autor, idąc za gustem czasu, w którym począł pisać, daje im ogólny tytuł *Ukrainki*, oznaczając liczbami, oddzielne dumki. Wybieram nie które strofy, dające wyobrażenie o całości:

1.

Od Dunaju wietrzyk wionie
A siarczyste wieje wonie.
Oj siarczyste i prochowe,
Zadunajskie to ładunki,
Szlą pohańcom podarunki,
Szlą kadzidło pogrzebowe.

Od Dunaju chmurka leci,
A na chmurze promyk świeci,
Oj nie promyk, oj to łuną,
Zadunajskie to pożary,
Pohańcowi niosą w dary,
Płomiennego szmat całuna.

Siostrę chmurkę skrzydełkami,
Wietrzyk niesie po nad nami,
Ale niosąc, czegoś staje?
Gzy poznaje kraj kochany,
Spustoszony, krwią oblany,
Bohaterów kraj poznaje?....

2.

Kozak ogień, dziewcze róża,
Kozak spojrzał, dziewczę zbladła
U Kozaka w sercu burza,
A dziewczyna burzę zgadła....

3.

Zmierzcha dzień mego żywota,
Oj jesienny był to dzień!
Trochę mgły i wiele błota...
Czyż nie milszy nocy cień!

Wdowa po Wład. Słowackim pani Alexandra Słowacka, ma podobno zamiar, wydać pamiątkowy zbiorek tych dumek, mogących złożyć wcale zajmującą całość.

Wzięcie Wielkich Łuk.

6 Września 1580.

Zdobycie Połocka otworzyło niejako Stefanowi Batoremu drogę pomszczenia się nad Moskwą za tyloletnie wrogie sąsiedztwo. Aleź i na tej zwycięzkiej drodze omal nie przyszło królowi walczyć z przeszkodami stawianemi mu przez własne dzieci królewskiej jego ojczyzny— szlachtę. Zaledwo bowiem zdołał na sejmie przypadłym w jesieni 1579 roku wykołatać przyzwolenie poborów i pomocy do dalszego prowadzenia zaczętej walki. A zebrawszy wojsko wyruszył król niezwłocznie na powtórną wyprawę. Odniosłszy kilka pomniejszych zwycięztw, zamyślał król o zdobyciu Wielkich Łuk, drugiej nadzwyczaj ważnej bramy w granicach Moskwy. O czem uwiadomiony car Iwan zaczął coraz naglejsze starania o pokój. Śród dyplomatycznych układów nie zaniechał Batory postępować na drodze bojowej. Będąc już w pobliżu wspomnianej fortecy wysłał najpierw kanclerza a teraz także i hetmana Jana Zamojskiego na rekonesans. Wraz z powracającym Zamojskim wyruszył król z całem wojskiem do oblężenia.

Zamek Wielkie Łuki stał na wzgórzu, otoczony jeziorem, po za którem i za rzeką Łowatą rozlegały się w niezmiernych przestrzeniach żyzne łąki. Na około zamku wznosił się wysoki wał najeżony mnóstwem doskonale ufortyfikowanych wież i baszt. Cokolwiek niżej zamku nad obiema brzegami rzeki leżało samo miasto, które załoga równocześnie ze zbliżeniem się wojsk polskich zapaliła, wyniosłszy się wprzód do zamku. Nadeszłe dnia 27 sierpnia 1580 r. wojsko przeprawiło się przez rzekę i zaczęło sypać szańce pod samym zamkiem. Główny operator hetman Zamojski rozłożył w okół hufce, przydawszy za dowódzcę Węgrom Bornomisę, Polakom zaś kilku znakomitszych ziomków. Ze strony nieprzyjacielskiej miał w zamku najwyższe dowództwo nad 5000 załogą kniaź Teodor Oboleński Lichów z podwładnymi Michałem Kaszynem i Issakowem. Zaś w parę mil zaledwie od Wielkich Łuk stało w pogotowiu do odsieczy miasta wojsko carskie pod wodzą Chiłkowa. Niemniej wstrzymywali postęp całej sprawy posłowie carscy o których Bielski zabawne prawi historye. „Nazajutrz“ — prawi on — „posłowie moskiewscy do króla przyjechali, którzy z Smoleńska prosto do Suraża się byli udali; zkąd gdy dalej postąpić nie chcieli powiadając, że nigdziej jedno w ziemi króla polskiego poselstwo sprawować mieli, a gdzieby inaczej, precz jechać chcieli, czego gdy im naszy pozwalali: tedy jeden drugiego jął wnet gwałtem ciągnąć i w rzeczy poniewalać aby do króla jechali; zaczem się jeden na drugiego przed naszymi oświadczali, na co patrząc nasi, musieli się śmiać z tego. Gdy byli przed króla przywiedzeni, toż powiedzieli co i dawno, że poselstwa sprawować nie będą, ażby się król z wojskiem swem do granic wrócił. Król kazał błaznom precz, a hetmanowi do dobywania zamku kazał się coprędzej mieć.“

Jakoż w rzeczy samej wzięto się stanowczo do szturmu. Widząc ile jezioro przeszkadza do podstąpienia pod zamek, kazał je Zamojski spuścić w rzekę Ławatę. Wnet też postąpiła piechota polska pod wodzą Mikołaja Urowieckiego i węgierska Bornomisy pod owe wysokie wały i baszty okryte ziemią i darniną. Niemogąc nic zrobić z powodu ostatnich, skierował Zamojski działa na blanki gdzie też wzniecono ogień. Ujrzawszy to posłowie carscy zaczęli po raz wtóry traktaty, ofiarując królowi Kurlandyą i Rygę, Połock a nawet jeszcze w ręku moskiewskiem zostającą Uświatę i Jezieryszcza. Król Stefan przyjmując traktowa-

nia posłów nie zaniechał jednak dalszego dobywania zamku. Więc i teraz podkopali się Węgrzy pod zamek i podsadzili prochy, które jednak zadnej prawie nie wyrządziły szkody. Zależało najbardziej na tem, aby ziemię i darninę z drewnianych murów obedrzeć, gdyż tylko wtenczas możnaby skutecznie ogień podłożyć. Zostawiono to przedsięwzięcie ochotnikom między którymi według powieści Bielskiego najbardziej się „nieszanował Mazur jeden, rzeczony Wieloch ze Wsi Miastkowa poddany Lasockich; choć był postrzelony, przecię szedł z ogniem oślep a palił; przeto go też król tamże szlachcicem uczynił a hetman go do herbu swego przyjął.“ Toż niemniej zacięcie broniła się Moskwa przeciw owym śmiałkom, gaszac wszelkiemi siłami ogień. Działo się to zaś w niedzielę 5 września. Ku wieczorowi stłumiono ogień, co nie mało naszym serca odjęło. Aż tu przed świtaniem 6 września wybuchł utajony ogień i ogarnął gwałtownym prądem cały zamek. Nie czas już było do szturmu. Ludzki zawsze Stefan Batory przesłał oblężeńcom łaskę swą i zachętę do gaszenia ognia. Tymczasem część wojska a szczególniej Węgrzy, rozsrożeni za tylokrotne mordy i okrócieństwa rzucili się na zamek. W ogólnem zamieszaniu i srogiej walce niezauważano gdy się ogień zbliżył do składu prochów. Nagłe wstrząśnienie zachwiało część zamku w jego posadach i wyrzuciła w powietrze mnóstwo budowli wraz z ludźmi. Nie było już mowy o oporze. Z owej kilkutysięcznej załogi przyprowadzono królowi jeńcem zaledwie połowę, pozostałą przy życiu. Niedługo potem poniósł dalej Batory śród coraz większej trwogi okrutnego cara swój mściwy a zwycięzki oręż.

B. K.

Różności.

— (Karol Emanuel III i Wiktor Emanuel II. roku 1733 i 1859.) Niemasz nic nowego na świecie, szczególnie w dziejach rodu ludzkiego i narodów. Jak w pojedyńczych rodach powtarzają się te same skłonności i dążenia tak w narodach pokolenia późniejsze ponawiają te same zabiegi i wywołują takie same polityczne stosunki, jakie kilka pokoleń przed niemi panowały. Czynią to często bez myśli, jakoby instynktowo, znać porywa je ku temu prąd zdarzeń, które chociaż w szczegółach od pojedyńczych ludzi zależą, przecież nie za ich wolą i zrządzeniem w całość się składają. W tem powtarzaniu się stosunków dziejowych powtarza się i ta ważna okoliczność, że postęp, rozwój wznioślejszych myśli i szlachetniejszych dążeń zwycięża zawsze. Różnica jest tylko w tem, że nie zawsze ten sam naród jest wyobrazicielem postępu. Takie podobieństwo i taką różnicę znajdujemy między stosunbami Sardynii, Francyi i Austryi w roku zeszłym a w latach 1730 do 1746. Podobieństwo między położeniem Piemontu w r. 1733 a 1859 jest uderzające. Na tronie król Karol Emanuel III młody, przedsiębiorczy i odważny, podobnie jak dzisiejszy Wiktor Emanuel II, dziedziczy tron po abdykacyi ojca, tak samo jak teraźniejszy władca Piemontu. Austryacy zajmują tak samo już Medyolan w r. 1733 jak 1859; Francya, pod kardynałem Fleury, patrzy tak samo na przewagę Austryi we Włoszech, jak Francya Ludwika Napoleona, zazdrośnem okiem; Piemont równie ambitny i chciwy rozszerzenia swych granic w r. 1733 jak w 1859. Karol Emanuel III ma także swego Cavoura w osobie hrabiego d' Ormea i noty polityczno-dyplomatyczne, nareszcie przebieg wypadków wojennych z r. 1733 zbliżają się niezmiernie do wszystkiego, co się na tem polu działo w r. 1859. Pozostanie naturalnie między obu datami ta główna różnica, że w r. 1859 szedł Piemont pod sztandarem niepodległości Włoch, przyzywającej go gorącemi życzeniami ludności, kiedy w r. 1733 postępował w imię poziomej ambicyi wśród ludności Austryakom przychylnej. Przymierze z 26 Września r. 1733 łączy przeciw Niemcom Hiszpanię Francyę i Piemont. Piemont wypowiada Austryi wojnę (w 1859 r. było przeciwnie). Dnia 10 Grudnia 1733 weszli król Sardyński, Karol Emanuel i Villars do Medyolanu, zkąd Austryacy ustąpili. Ale wtedy Francya zdradziła po dwóch latach Sardynię. W r. 1735 ułożono preliminarya pokoju w Wiedniu, które odebrały Piemontowi Medyolan zostawiając mu tylko Tortonę i Novarrę. Karol Emanuel III protestował przeciw temu, ale Francya (kardynał Fleury) groził że go zostawi na pastwę Austryi, jeżeli się będzie opierał pokojowi. — W pięć lat później w tak zwanej wojnie sukcesyjnej, r. 1740, zaszła zmiana w polityce Piemontu jaka zapewne w tym wieku się nie zdarzy. Francya zbliżyła się przez markiza d' Argenson, swego ministra spraw zagranicznych do Piemontu i proponowała Ligę włoską pod prezydencyą Papieża z 80.000 stałego wojska, którego połowa stałaby pod rozkazami Piemontu, a druga połowa pod rozkazami Neapolu, ale Karol Emanuel sparzony zdradą Francyi w r. 1835 staje stanowczo po stronie Austryi. To dało powód do późniejszej przewagi Austryi we Włoszech.

— W jednym z ostatnich numerów Gazety Codziennej czytamy w korrespondencyi redaktora, odpowiedź nader przychylną p. Szymonowiczowi mieszkającemu we Lwowie. Według tej odpowiedzi miał p. Szymonowicz napisać kilka monografii miast tutejszych, jako to Jazłowca Jezupola etc. Kraszewski uznaje sumienność autora w badaniach szczegółowych rysów naszego ludu.

Sprostowanie. W tym numerze w powieści Z. Kaczkowskiego, str. 375 druga przedziałka, siódmy wiersz od dołu, zamiast *emancypacyami* czytaj: *emanacyami.*

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.